

ŻYTO KWITNIE BETONEM

(Do reportażu na str. 12)



WIELKI PROCES ZDRAJCÓW I SPRZEDAWCZYKÓW PRZED SĄDEM WOJSKOWYM W WARSZAWIE



Przed Najwyższym Sądem Wojskowym w Warszawie toczy się proces dziewięciu generałów i oficerów, którzy stali na czele organizacji dywersyjno-szpiegowskiej, działającej na terenie Wojska Polskiego. Wszyscy oskarżeni wywodzą się z szeregów przedwojennej armii sanacyjnej, a w czasie wojny wchodził w skład reakcyjnego dowództwa Armii Krajowej, bądź też działali na emigracji pod rozkazami „rządu” londyńskiego. Po wojnie przedostali się podstępnie do szeregów odrodzonego Wojska

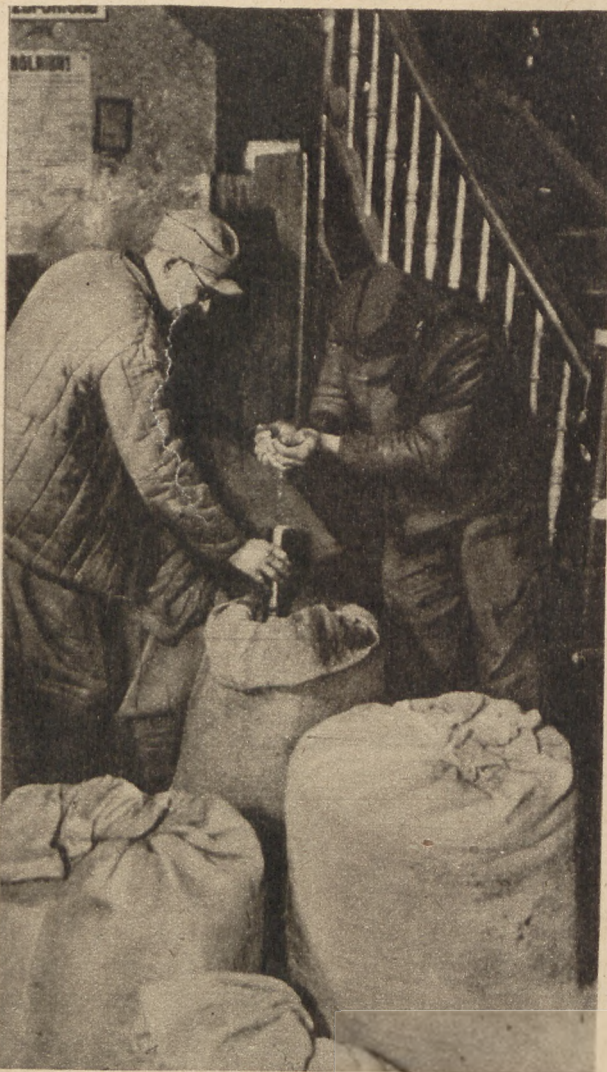
Polskiego, by tu nadal prowadzić swą zbrodniczą działalność. Dopuścili się oni zdrady ojczyzny, występując się wywiadowi anglosaskiemu i zmierzając do obalenia przemocą władzy ludowej w Polsce. Oskarżeni współpracowali ściśle z agentem imperialistycznym Mikołajczykiem, po jego ucieczce zaś liczyli na prawicowo-nacjonalistyczną grupę w PPR i na prawicowe elementy w PPS i innych stronnictwach politycznych. „Gdy naród polski, zjednoczony w patriotycznym wysiłku,

zagospodarowywał prastare ziemie zachodnie — głosi akt oskarżenia — umacniając siły naszej ojczyzny i utrwalając jej niepodległość, oskarżeni knują zradziecki spisek przeciwko narodowi i działają na rzecz nowej wojny”. Na zdjęciach: (na lewo) ława oskarżonych, w pierwszym rzędzie od lewej: Tatar, Utnik, Nowicki, z boku Kirchmayer, w drugim rzędzie: Roman, Jurcki, w ostatnim rzędzie: Herman, Wacek, Mossor; (na prawo) osk. Tatar zeznaje. (Foto „Świat”)

POD HASŁEM „PLON OJCZYŹNIE”

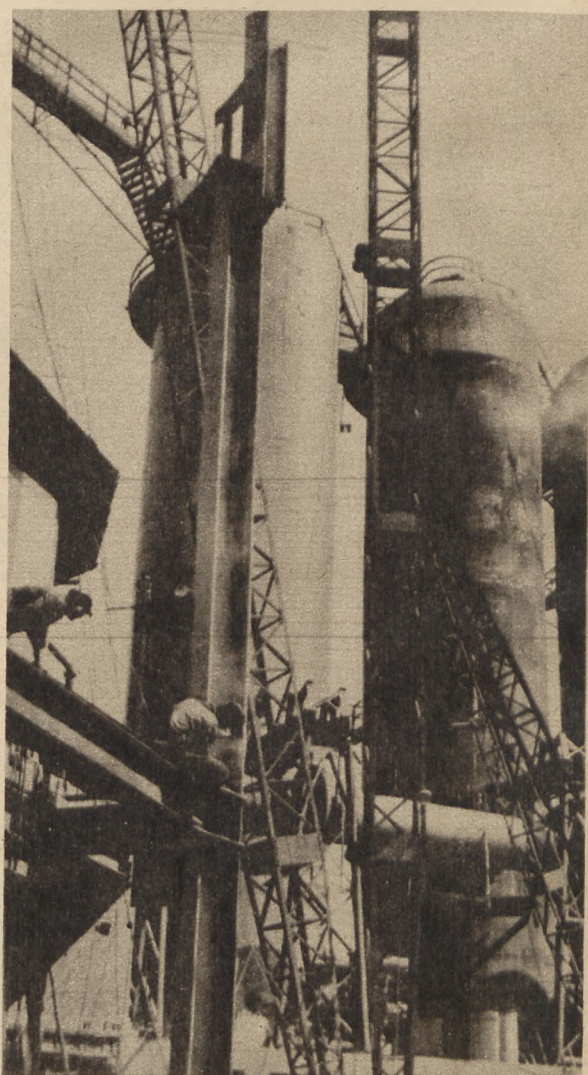


Akcja zniwna w kraju dobiega końca. W wielu miejscowościach rozpoczął się już skup zboża. Dekret Rady Ministrów o planowym skupie zboża stworzył dogodne warunki dla chłopów, zapewnił



im opłacalne ceny i sprawiedliwe normy. Dekret ten chroni interesy małych i średniorolnych chłopów i jest wyrazem zacieśniającego się coraz bardziej sojuszu robotniczo-chłopskiego. (Foto CAF)

SUKCES HUTY „KOŚCIUSZKO”



Dzięki wysiłkowi załogi, huta „Kościuszko” uruchamia nowy wielki piec na pięć miesięcy przed terminem. Sukces ten jest m.in. wynikiem wykonania zobowiązań lipcowych. (Foto CAF)

ROKOWANIA O ZAWIESZENIE BRONI W KOREI



Dzięki wysiłkom przedstawicieli koreańskich wojsk ludowych i ochotników chińskich, rokowania w Kaesong doprowadziły do uzgodnienia porządku dziennego obrad. Delegacja Stanów Zjednoczonych



próbuje w dalszym ciągu utrudniać rokowania, odmawiając wycofania napastniczych wojsk amerykańskich, poza 38 równoleżnik. Na zdjęciach: na prawo) członkowie delegacji amerykańskiej, w drodze na rokowania, mijają posterunek wojsk ludowych, w Kaesong; (na lewo) Nam Ir, generał przewodniczący delegacji koreańskich wojsk ludowych. (Foto INP)

kańskiej, w drodze na rokowania, mijają posterunek wojsk ludowych, w Kaesong; (na lewo) Nam Ir, generał przewodniczący delegacji koreańskich wojsk ludowych. (Foto INP)

ŻELAZNA STOPA OKUPANTA



W Marly-le-Roi, tuż pod Paryżem, w głębokich podziemnych schronach betonowych specjalnie na ten cel zbudowanych, znalazła pomieszczenie główna kwatera wojsk amerykańskich okupujących Francję. Wejścia do kwater strzegą żołnierze amerykańscy. W dniu 23 lipca prezydent Francji przekazał gauleiterowi Europy Zachodniej, gen. Eisenhowerowi jego nową siedzibę. Z uśmiechem przyglądał się tej ceremonii francuski minister wojny, Jules Moch, zaprzeczający całkowicie Amerykanom.

rykańscy. W dniu 23 lipca prezydent Francji przekazał gauleiterowi Europy Zachodniej, gen. Eisenhowerowi jego nową siedzibę. Z uśmiechem przyglądał się tej ceremonii francuski minister wojny, Jules Moch, zaprzeczający całkowicie Amerykanom.

FILMY DLA LUDZI PRACY



W czeskosłowackim uzdrowisku Mariańskie Łaźnie otwarty został Festiwal Filmowy, na którym najlepsi robotnicy czeskosłowaccy obejrzą nagrodzone filmy z IV Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karlovych Varach. Na zdjęciu członkowie radzieckiej i chińskiej delegacji filmowców. (Foto CAF)

TERROR W PARYŻU



Bandyci faszystowscy z partii de Gaulle'a wtargnęli do "Domu Związków Zawodowych w Paryżu, gdzie urządzili pogrom, turbując i raniąc robotników. Na zdjęciu: dwaj robotnicy francuscy porażeni przez nożowców faszystowskich. (Foto CAF)



JEDZIEMY NA WCZASY...

Na plaży w Międzyzdrojach tysiące wczasowiczów korzysta z zasłużonego wypoczynku. Blisko 600 tysięcy ludzi pracy w Polsce korzysta w tym roku

z wczasów, organizowanych przez Fundusz Wczasów Pracowniczych. W okresie letnim wyjeżdża w ramach tej akcji ok. 400.000 osób. (Foto „Świat“)



NAJWYBITNIEJSI PLASTYCY NIEMIECCY PRACUJĄ NAD UDEKOROWANIEM BERLINA, W KTÓRYM SPOTKAJĄ SIĘ DWA MILIONY MŁODYCH.

NA PLANIE MIASTA OZNACZONO PUNKTY, KTÓRE NALEŻY UPIĘKSZYĆ.



2.025.000 MŁODYCH

BERLIN CZEKA NA UCZESTNIKÓW WIELKIEGO ZLOTU

Mediolan. Do sklepu filatelistycznego wchodzi czterech chłopów z zawiniątkami pod pachą. Wydobywają swój największy skarb — albumy znaczków pocztowych. Błyszczącym wzrokiem liczą wykładane przez właściciela sklepu na ladę banknoty stulirowe. Tak, wystarczy... Ten piąty, dla którego poświęcili swoje zbiory, będzie mógł pojechać.

Ankara. Dwaj młodzi ludzie, wielokrotnie już wyrzuceni, usiłują po raz niewiadomo który dostać się do gmachu sądowego. Muszą się dowiedzieć, kiedy wyjdzie na wolność ich przyjaciel, skazany przed rokiem na więzienie za zbieranie podpisów pod apelem sztokholmskim. Jeżeli go wypuszczą przed piątym sierpnia, to może jeszcze uda mu się pojechać...

Antwerpia. Czternastoletni windziarz jednego z hoteli po pracy udaje się do portu. Dźwiga ciężkie worki, znosi warkliwe przekleństwa przedsiębiorcy. Jeśli uda mu się zostawić starej matce dość pieniędzy na okres jego nieobecności — będzie mógł ze spokojnym sumieniem jechać...

Zachodnia Syberia. Brygada kombajnerów-komsomolców jeszcze przed świtem wyrusza w pole. Młodzi zobowiązali się przed Złotem zakończyć sprzęt zboża — zobowiązanie to trzeba za wszelką cenę wykonać!

Budapeszt. W pięknej hali gimnastycznej Domu Kolejarza ćwiczą młodzi chłopcy. Powtarzają ćwiczenie jeszcze raz, jeszcze raz... Wszystko musi wyjść doskonale, przecież popiszą się tam, w Berlinie...

Tam, w Berlinie zachodnim, opasłe mieszczychy jeszcze miesiąc temu twierdziły, że to nonsens, utopia, fantazja... Dwa miliony ludzi? Kilkadziesiąt stadionów? Gdzie to wszystko się zmieści, kto to wszystko zrobi?

Zrobili wszystko. Więcej, niż było przewidziane, szybciej, niż było przewidziane. Młodzi Niemcy z FDJ (Wolna Młodzież Niemiecka) pracowali kilka miesięcy, by przygotować gigantyczny Złot Młodych Bojowników o Pokój. Złot, w którym obok 2 milionów młodych ludzi z całych Niemiec, weźmie udział 25 tysięcy delegatów młodzieży z całego świata.

Jak grzyby po deszczu wyrastały w całym demokratycznym Berlinie stadiony i boiska, teatry pod gołym niebem i miasteczka namiotów, parki i wystawy. W Lichtenberg i Weissensee, w Pankow i Prenzlauer Berg, pracowały tysiące młodych ochotników, by przygotować miasto na przyjęcie gości. I każdy z nich rozumiał, że najszczytniejszym w tej chwili zadaniem jest przygotowanie Złotu, na którym ponad 2 miliony młodych ludzi złożą ślubowanie wytrwałej walki o życie ich pokolenia — o pokój.



Młodzi kucharze przechodzą generalną próbę: specjaliści badają starannie ich kwalifikacje. Nie wol-

no zapominać, że 25 tysięcy gości zagranicznych będzie krytycznie oceniać ich umiejętności...



Artyści przygotowują wielkie malowidła, które będą umieszczone na placach i ulicach Berlina.

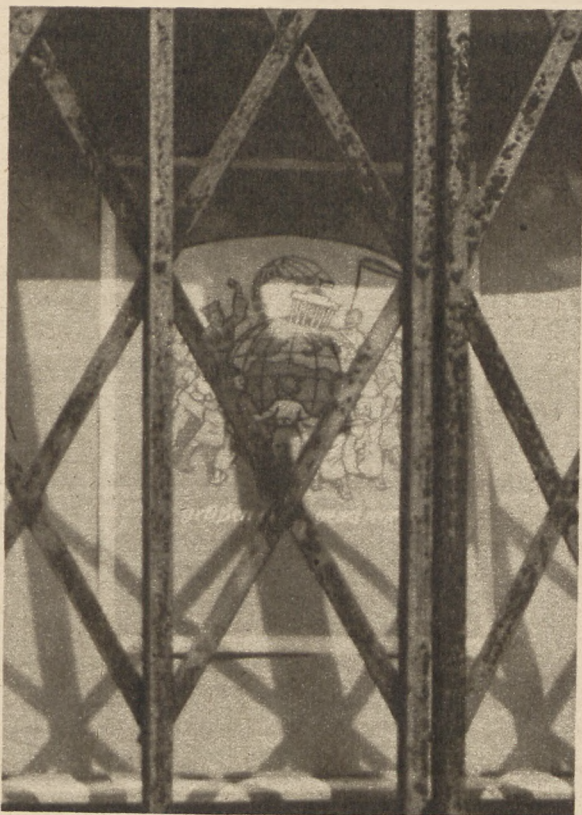
Gospodarzy Zlotu — młodzież FDJ — czeka trudny i odpowiedzialny egzamin. Tysiące gości z całego świata muszą czuć się w Berlinie naprawdę dobrze. Trzeba przygotować dla nich kwatery i punkty wyżywienia, zorganizować grupy przewodników i tłumaczy, pomyśleć o służbie zdrowia i służbie przeciwpożarowej, słowem — tysiące obowiązków i kłopotów.

Młodzież FDJ winna równocześnie wykończyć na czas obiekty sportowe i kulturalne, udekorować miejsca spotkań, uroczystości i zabaw. Pomyśleć tylko — ponad dwa miliony gości...

Meldunki z Berlina wskazują na to, że FDJ zda ten egzamin na piątkę. Troskliwi gospodarze pomyśleli w porę o wszystkim. Przygotowania do Zlotu zostaną na 5 sierpnia — dzień rozpoczęcia Zlotu — całkowicie zakończone.

(Zdjęcia do niniejszego fotoreportażu, wykonane przez Horsta F. Schulze, użyliśmy w ramach naszej stałej wymiany z redakcją tygodnika *Neue Berliner Illustrierte*).

ŻELAZNA KURTyna ADENAUERA



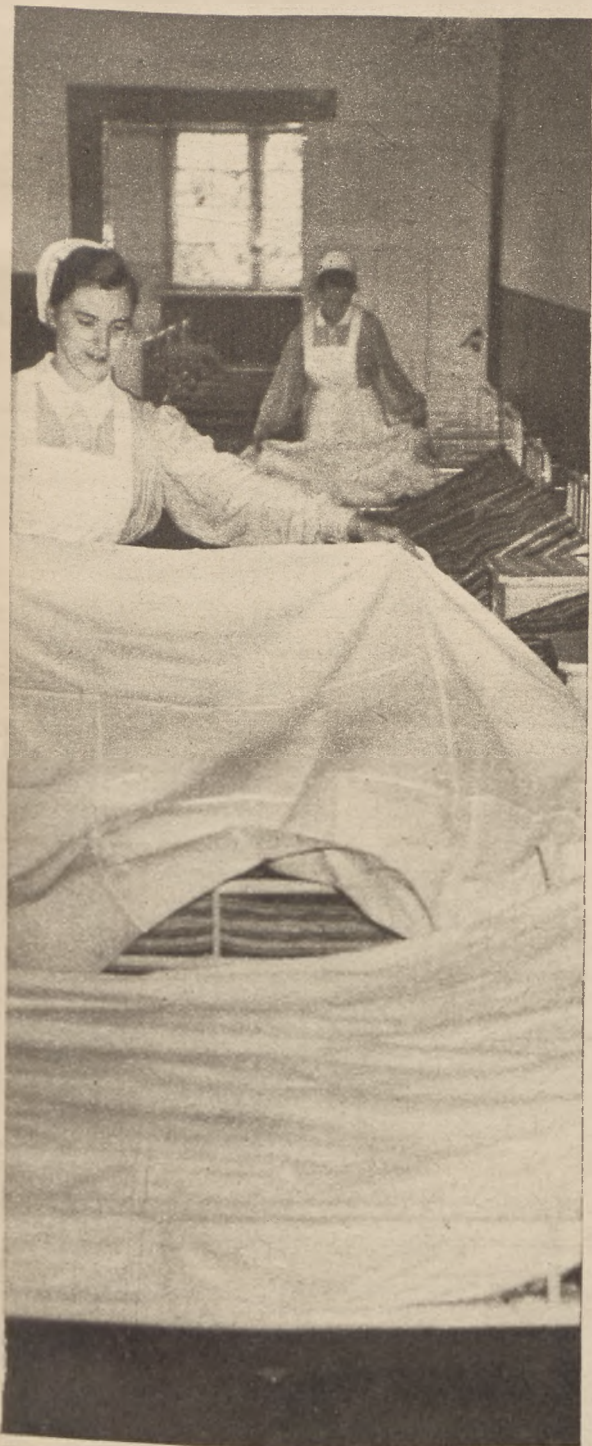
Zasunięte żaluzje — lokal organizacji FDJ we Frankfurcie nad Menem został zamknięty przez policję Adenauera. Marionetkom z Bonn wydawało się, że przez prowokacyjne zakazanie działalności FDJ na terenie Niemiec Zachodnich zdołają sparaliżować walkę młodzieży zachodnio-niemieckiej o pokój i zjednoczenie demokratycznych Niemiec. Przeliczyli się jednak srodze: woli setek tysięcy młodych bojowników o pokój nie można spętać przy pomocy policyjnych zarządzeń. W Złocie Pokoju weźmie udział młodzież z całych Niemiec!

Takie masy serów! Trzeba pamiętać, że spożywać je będą co najmniej dwa miliony konsumentów...



Zupy, galaretki, przyprawy, kawa, czekolada... Kuchnie zlotowe zostały należycie zaopatrzone.





Trzeba było wszystko przewidzieć—również wypadki zachorowań. Pomoc lekarska jest zapewniona.

Na kwatery wysyła się tysiące materaców. Po dniach pełnych wrażeń każdy będzie smacznie spał.



WCZASY POD ZNAKIEM FESTIWALU

OBERKIEM DO BERLINA

KAMILA CHYLIŃSKA



Żeby jeszcze skoczniejszy wypadł oberek, ognistszy krakowiak, bardziej posuwisty polonez, bardziej zawadiacki mazur!

Żeby usunąć pozostałe uchybienia, należy szacunek zachować dla rytmu i dwadzieścia par nóg w tej i czy innej grupie tanecznej doprowadzić do zupełnej między sobą zgody!

Bardzo tego pragną uczestnicy obozu harcerskiego w Turczynku pod Warszawą. Więc podjęli zobowiązanie swoje: zobowiązanie przedterminowego „wygładzenia” wszystkich tańców, jakimi zadziwić chcą widzów na berlińskim Festiwalu.

Szkoda każdej minuty

Gdy w naszym piśmie ukażą się te słowa, gdy z fotografii uśmiechnie się do czytelnika Hanka Pasternakiewicz z Płocka, przewodnicząca Rady Drużyny — turczyńscy wczasowicze wywijać będą swe „wygładzone” już oberki i trojaki na berlińskich placach, w teatrach i parkach. Prawdziwa uciecha rozpocznie się dopiero po skończonych spektaklach — wtedy, gdy w kąt pójdzie trema i zniknie wszelkie skrepowanie. Później, jeden z Wojtków, ten co to już raz był w Berlinie, na Złocie Wolnej Młodzieży Niemieckiej, i co go Wojskim nazywają, bo tak pięknie gra na harmonii jak grał Wojski na rogu, powie chyba jak w zeszłym roku:

— Takem się narozmawiał, że aż mnie ręce bołą.

Ktoś zadrwił:

— Patrzcie go, ręce ma do mówienia zamiast ust!

A na to Wojtuś — Wojski zagrzmie groźnie:

— Ale mi mądrała! Jak tu inaczej dogadasz się z tyłoma cudzoziemcami — jeśli nie na migi!

Tymczasem jednak nie jesteśmy jeszcze w Berlinie. Znajdujemy się w wielkim parku w Turczynku obok Podkowy Leśnej, przed pałacykiem, który niegdyś należał do łódzkiego fabrykanta, a dziś jest siedzibą Szkoły Organizacyjnej ZMP.

W tym to pałacyku rozlokowali się na miesiąc uczestnicy świetlicowego Zespołu Akordeonistów z Orzegowa na Śląsku i uczestnicy Zespołu Pieśni i Tańca z płockiego „Domu Harcerza”. Przeszło stu harcerzy, z których najmłodsi mają po lat 8, a naj-

starsi po 16, liczy dni dzielące ich od wyjazdu do Berlina. Na posiedzeniu Rady Drużyny kierownik mówi:

— Trzeba, żeby lepsi pomagali słabszym. Należy uaktywnić rady zastępów. Nie wszystkie grupy pracują tak aktywnie jak grupa Krakowiaka czy Oberka. A nie mamy ani minuty czasu do stracenia.

Tego samego zdania są wszyscy członkowie Rady Drużyny.

Tego samego zdania jest mistrzyni choreografii.

Tego samego zdania jest chyba cały obóz. Przed chwilą koleżanka fotoreporter fotografowała dziesięcioletniego trębacza, trąbiącego na poobiednią ciszę — a tu przybiega ktoś z oznajmieniem, że chłopaki Wojtka — Wojskiego do harmonii zaprzęgli i w taki oto dźwięczny sposób ową poobiednią ciszę „odrabiają”. Szkoda każdej minuty czasu wczasowiczom, którzy najchętniej krokiem oberka pobiegliby do Berlina.

Szkoda czasu przy zupie, która z talerzy znika z taką szybkością, jak gdyby sama tańczyła oberka. Szkoda czasu synowi organisty z Grudziądza, Jurkowi Smoczyńskiemu, co od fortepianu oderwać się nie może, w Berlinie zespołom do tańca będzie przygrywał, a za rok jedzie do Moskwy na muzyczne studia. Szkoda czasu urwisom co z drzew obrywają zielone jeszcze jabłka. Szkoda czasu figlarzowi, co nie zaśnie, aż nie zobaczy jak niedojrzały orzech wygląda w środku. Szkoda czasu Jaśkom i Zośkom, którzy do łóżek na noc nie wchodzić lecz wskakują, niszczą sprężyny i dopiero od przełożonych i towarzyszy uczyć się muszą poszanowania mienia państwowego.

Bez Janków Muzykantów

Bo harcerze, to młodzi, lecz świadomi obywateli swego państwa. Udział w zespołach świetlicowych jest dla nich nagrodą za dobrą naukę. W szkołach już odbywa się eliminacja: kto źle się uczy — ten do zespołu nie wejdzie. Jak w szkole tak na wczasach harcerze wzajemnie się kontrolują, wzajemnie sobie pomagają. Tak na przykład, Józek jeszcze w Płocku dostał upomnienie za złe zachowanie.

(dokończenie na str. 8)

wanie i brak dyscypliny. W obozie turczyńskim trzy razy stawał do apelu i dopiero trzeciego dnia stwierdzono, że się poprawił i że do własnych przewinień odniósł się samokrytycznie. Tak to w gromadzie Józek zmadrzał.

Dzisiaj prasówkę miał jeden z orzegowskich akordeonistów — Bogacki. Mówił o znaczeniu berlińskiego Złotu, o tym, dlaczego odbywa się on w Berlinie. Potem, w ciągu dnia, z wielu ust padały słowa:

— Jesteśmy dumni, że będziemy reprezentować całą młodzież polską na Zlocie.

Ci, co w Berlinie byli w zeszłym roku, opowiadali, jak serdecznie przyjmowali ich młodzi niemieccy towarzysze. Zostali z nimi w kontakcie, wymieniają listy, a niektórzy dziś jeszcze noszą niebieskie chusteczki, które na znak przyjaźni ofiarowali im niemieccy pionierzy.

— Pytali w listach, czy przyjedziemy na Światowy Zlot do Berlina — powiada blondyn z zadartym nosem.

Z sali prób dochodzą nas dźwięki szopenowskiego poloneza. Jurek Smoczyński gra na pianinie. I on pewnie jest dumny, że do Berlina jedzie jako przedstawiciel nowej Polski, w której nigdy już nie będzie umierających talentów, Polski bez Janków-Muzykantów.

Wróć z nową dumą

Niedługo, wraz z wieloma innymi chłopcami i dziewczętami z Mazowsza i Podhala, z Pomorza i ze Śląska, wracać będą z Festiwalu berlińskiego turczyńscy wczasowicze. I jeszcze nową dumę przywiozą ze sobą. Dumę, jaką zdobyli we wspólnym marszu, we wspólnej zabawie, we wspólnym śpiewie, dyskusjach i rozmowach na migi z towarzyszami z Berlina, Moskwy, Sofii, Paryża, Pekinu i Phenjanu. Zobaczą na własne oczy turczyńskie Wojtki, Jaśki i Hanki, że na całym świecie jedno jest prawo wszystkich dzieci do radości i beztroski. Zobaczą, że tak jak oni, uczyć się i tańczyć chcą mali Koreańczycy. Ze tak jak oni śpieszy do poznania świata mały Jacques z Paryża. Ze taka jak ich jest skrusza Hansa, gdy złamie w łóżku sprężynę. I tak jak im, błyszczą oczy Wańce, gdy po raz pierwszy odkryje, jak orzech wygląda w środku.



O ILEŻ CIEKAWSZA JEST LEKCJA GEOGRAFII, GDY ODBYWA SIĘ NA POLANCE WŚRÓD DRZEW.

WSZYSCY CHCĄ BYĆ OCZYWIŚCIE NA ZDJĘCIU. — A CZY BĘDZIE MNIE WIDAC? — SPYTAJĄ ZA CHWILĘ DZIECI NASZEGO FOTOREPORTERA.



ALEKSY DUSZKIN BUDUJE MOSKWĘ

Zdjęcia: SIB.



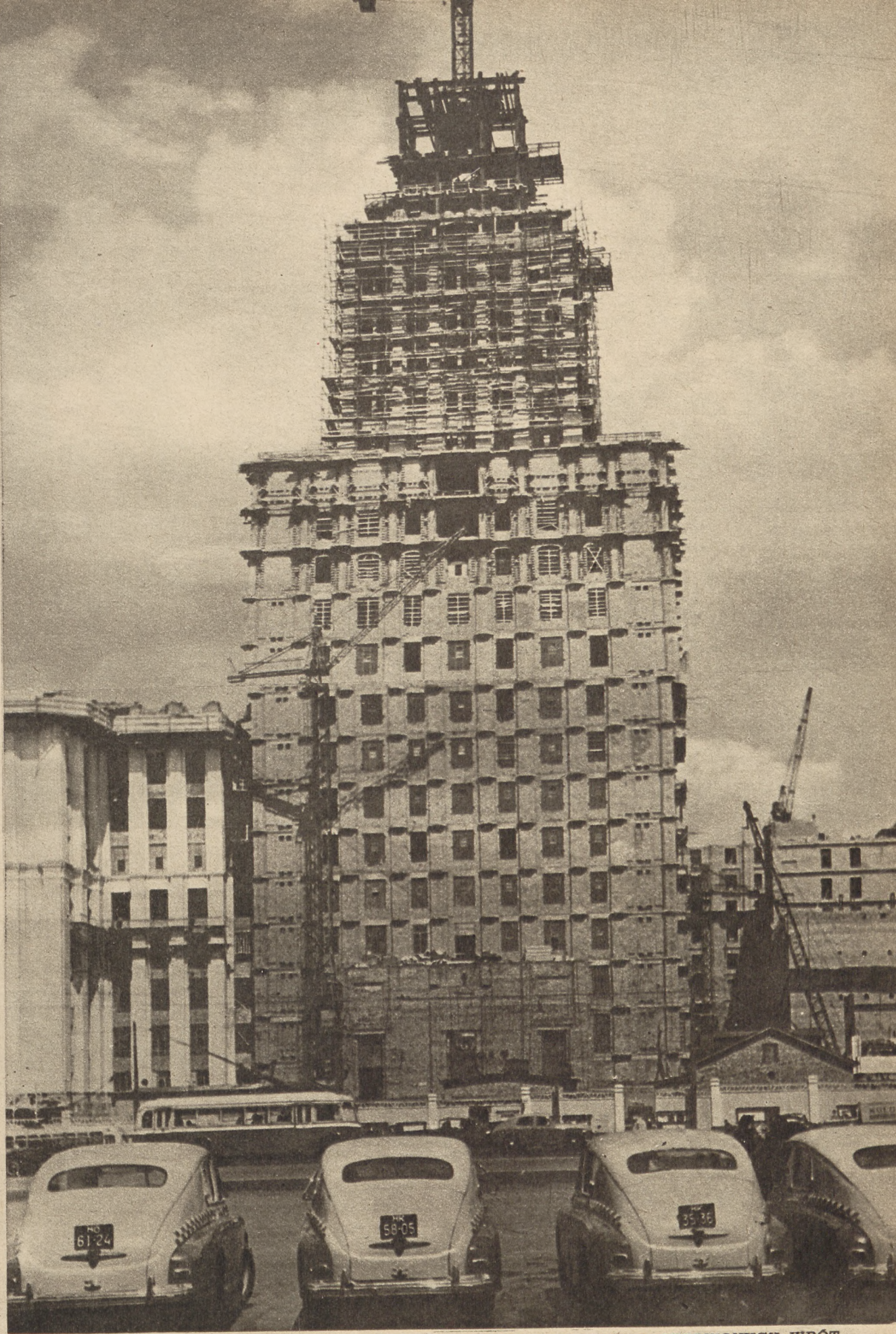
Siwe włosy? I co z tego! To prawda, szósty krzyżyk na karku, ale tę ilość lat przekreśla młodzieńczy zapał, młodzieńczy temperament, młodzieńczy entuzjazm w pracy. Aleksander Duszkin czuje się młody — i to decyduje. Dlatego też nie dziwią się ludzie, którzy o piątej rano widzą Duszkiną na rusztowaniach wysokościowca u Czerwonych Wrót, w południe — na katedrze w Instytucie Architektury, a późnym wieczorem — schylonego nad projektem nowego, wspaniałego gmachu czy dworca. Jeśli dodać, że Duszkin kieruje wydziałem architektonicznym Ministerstwa Komunikacji, jest członkiem Rady Moskiewskiej, zajmuje się amatorsko malarstwem i muzyką — stanie się jasne, że wieku jego nie można mierzyć ilością przeżytych lat.

Natomiast talent Duszkiną da się w przybliżeniu określić ilością nagród i odznaczeń. Duszkin jest trzykrotnym laureatem Nagrody Stalinowskiej — i to chyba mówi samo za siebie. Najpiękniejsze na świecie metro moskiewskie, chlubi się czterema stacjami, zaprojektowanymi przez Duszkiną. Jego dziełem są dworce w Smoleńsku i Dniepropietrowsku, pod jego kierunkiem powstają dworce w Stalingradzie i Soczi.

Najmłodsze „dziecko” Duszkiną rodzi się w Moskwie. Będzie nim wspaniały wysokościowiec u Czerwonych Wrót — połączenie piękna, komfortu i wygody. Aleksey Duszkin pracuje obecnie nad projektami całej serii nowych gmachów wysokościowych, takich, które nadadzą Moskwie oblicze stolicy kraju budującego komunizm.



Budowniczoje gmachu u Czerwonych Wrót znają już doskonale Duszkiną, który często przychodzi na plac budowy, by osobiście podzielić się swymi uwagami z pracującymi przy budowie. A każda taka uwaga — to cenna wskazówka dla budowniczych...



NAJMŁODSZE „DZIECKO” ALEKSEGO DUSZKINA — WYSOKOŚCIOWIEC U CZERWONYCH WRÓT.



Stacja „Plac Majakowski”, którą widzimy obok na zdjęciu, jest jedną z czterech stacji moskiewskiego metro, zaprojektowanych przez Aleksego Duszkiną. Pozostałe trzy: „Pałac Rad”, „Plac Rewolucji” i „Zakłady ZIS” — są niemniej piękne i okazałe. Wszystkie cztery są arcydziełami architektury, w którym łączą się w jedną całość z celowością, komfortem i wygodą. Obecnie, przy projektowaniu dalszych stacji rozbudowującego się metro, pracują także młodzi architekci wychowankowie Aleksego Duszkiną z Moskiewskiego Instytutu Architektury.



Prowincja Bihar w północnych Indiach dotknięta została przed wielu miesiącami straszliwą klęską głodu. Mieszkańcy jej dawno nie widzieli już kawałka chleba ni ziarnka ryżu. Widmo śmierci za-

gląda w oczy wynędzniałych kobiet ze wsi Devdhar, które daremnie żebrały o pomoc u przedstawicieli miejscowych władz. Władze są jednak bezsilne. Rezerwy zbożowe dawno już się wyczerpały.



Całe rodziny wymierają powolną śmiercią głodową, pozostawione swemu losowi, bez nadziei na ratunek. Trzeba setek tysięcy ton zboża i ryżu, by nakarmić głodującą ludność północnych prowincji.

Rząd Indii nie rozporządza rezerwami. Zwrócił się o pomoc do rządu Stanów Zjednoczonych, ale... Tu zaczyna się historia jednego z najohydniejszych szantaży politycznych, jakie zna ludzkość.

WIELKI GŁODUJĄCY HINDUSI

Wetknij w ziemię kolec róży, a wyrośnie bujny krzew". Tak przed kilku wiekami opiewał urodzajność ojczystej ziemi nieznany poeta hinduski.

A mimo to Indie głodują. Głodują od dziesięcioleci, od wieków. Pomór pustoszy całe wsie, dieściatkuje ludność całych prowincji. Co roku gazety donoszą o koszmarnych scenach, rozgrywających się w Bengalu i Biharze, Assanie i Madrasie, na ulicach Kalkuty i Bombaju. O takich scenach, jak te, które widzimy na zdjęciach.

Głód w Indiach, to ponury spadek po rabunkowej gospodarce brytyjskich kolonizatorów i rodzimych feudalnych panów. Indie posiadają najniższy chyba poziom kultury rolnej na świecie. Zwykły pług żelazny należy tu do rzadkości. Cóż dopiero mówić o traktorach i kombajnach. Powodzie, posuchy i szkodniki, z którymi nikt nie walczy, dopełniają reszty.

W końcu ub. roku Indie stanęły w obliczu klęski głodowej o niespotykanych rozmiarach. Wobec szczupłości rezerw zbożowych mogły je uratować jedynie dostawy z zagranicy. Rząd indyjski zwrócił się więc do rządu Stanów Zjednoczonych, prosząc o sprzedanie pszenicy amerykańskiej za gotówkę.

Politykom amerykańskim rozpromieniły się twarze. Nadarzyła się niebywała gratka. Trudno było wprost wymarzyć sobie lepszą sytuację. Bo oto od tygodni toczyła się w Organizacji Narodów Zjednoczonych walka wokół sprawy Korei i Chin. Rząd amerykański przeforsował bezprawnie rezolucję, uznającą Koreańską Republikę Ludowo-Demokratyczną za agresora. Teraz z kolei próbował przeprowadzić wniosek o uznanie za agresora Chin Ludowych i o zastosowanie wobec nich sankcji gospodarczych. Tym wnioskiem sprzeciwia się rząd Indii. Rząd amerykański postawił go wobec ultimatum: albo Indie poprą bez zastrzeżeń wnioski amerykańskie w ONZ, albo nie dostaną zboża.

Rząd Indii odrzucił ultimatum. A wtedy Kongres amerykański odmówił rozpatrzenia prośby rządu indyjskiego. Przywódcy obu reakcyjnych partii, zarówno demokratycznej jak i republikań-

Dziesiątki tysięcy Hindusów przypłaciły śmiercią cynizm tych oto polityków amerykańskich, którzy ze sprawy ratowania girących uczynili śro-



SZANTAŻ

I AMERYKAŃSKA POLITYKA

skiej, jawnie i cynicznie uzależniali sprzedaż zboża dla głodujących od stosunku delegacji hinduskiej w ONZ do propozycji amerykańskich.

Tymczasem racje żywnościowe w Indiach zmniejszono znowu o połowę. A z prowincji Bihar zaczęły nadchodzić alarmujące wieści o masowych wypadkach śmierci głodowej. Rząd Stanów Zjednoczonych uznał, że nadszedł czas do podjęcia nowej próby szantażu.

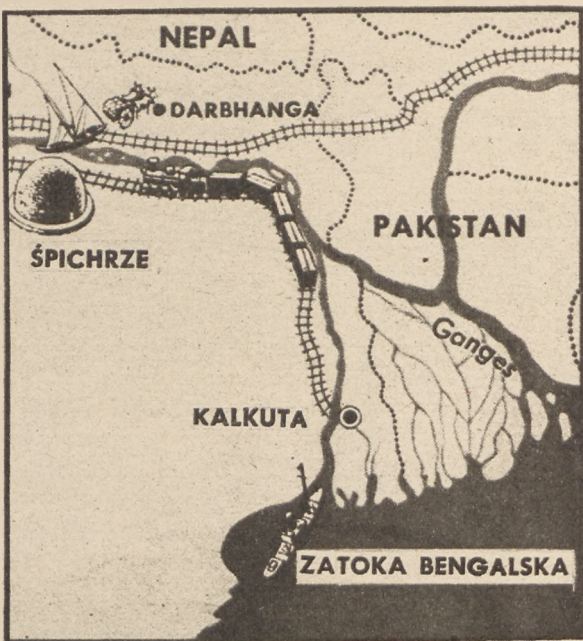
W połowie lutego przybył do Indii z „nieoficjalną wizytą”, dr Lilienthal, były przewodniczący amerykańskiej komisji do spraw energii atomowej. Dnił on swemu rządowi, że Indie rozporządzają wielkimi złożami uranu, toru i monazytu, a więc surowców potrzebnych do produkcji bomb atomowych. Jednakże rząd indyjski ustanowił zakaz wywozu tych surowców za granicę.

I oto nagle w kilkanaście dni po powrocie Lilienthala do Ameryki sprawa sprzedaży zboża Indiom wypłynęła w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Kongresman Kersten zapowiedział, że Kongres chętnie zgodzi się na sprzedaż zboża, jeśli tylko rząd Indii uchyli zakaz wywozu surowców atomowych. Zboże dla głodujących w zamian za surowce do produkowania środków masowej zagłady...

Rząd Indii i tym razem odrzucił warunki amerykańskie. Ale ludność głodujących prowincji nie była już skazana na powolną śmierć. Bo w marcu rząd Związku Radzieckiego i rząd Chińskiej Republiki Ludowej zaproponował Indiom dostawę niezbędnych ilości zboża na bardzo dogodnych warunkach. Już w parę tygodni później pierwsze statki radzieckie ze zbożem przybiły do indyjskich portów.

W Waszyngtonie zawrzało. Szantaż spalił na panewce. Propozycje radzieckie i chińskie unicestwiły nacisk amerykański. Premier indyjski Nehru mógł oświadczyć w dniu 1 maja, że „Indie nie zgodzą się na narzucenie warunków politycznych za dostawę zbóż”. Pomoc radziecka i chińska nie tylko uratowała ludność Indii od śmierci głodowej. Uratowała ona także Indie od popadnięcia w niewolniczą zależność od waszyngtońskich szantażystów.

dek szantażu wobec rządu Indii. Gotowi byli sprzedać zboże, ale tylko za surowce wojenne, których rząd Indii nie chciał im dostarczyć.



Na rynku w Patna konają ludzie, którzy ścignęli tu w nadziei, że uda się im znaleźć choć kęs żywności. Naprawdę. Śmierć jest bliższa niż chleb.



Te kobiety nie jadły już od wielu dni. Ich rodzina wymarła w ciągu tygodnia. Wędrują o kiju od osady do osady, daremnie poszukując żywności.



Promyk radości dla głodującej ludności Indii zabłysnął w chwili, gdy rządy Związku Radzieckiego i Chin Ludowych przyrzekły dostawę zboża i ryżu. Życiodajne transporty na radzieckich statkach

zaczęły niezwłocznie napływać do portów Indii. Robotnicy hinduscy przeladowują zboże z radzieckich statków do worków, by wysłać je natychmiast na północ, na tereny dotknięte głodem

WIERZBICA



Na prawo i lewo chaty pod słomianymi strzechami. To dawna Wierzbica. Trzeba długo wędrować wioską, by ujrzeć nową Wierzbicę wyrastającą wśród żyta.

ŻYTO KWITNIE BETONEM

tekst: JAN DĄBROWSKI
zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY

„Harmonogram budowy przewiduje na dzień jutrzejszy betonowanie ławy fundamentowej. Dyspozytor zapewni nieprzerwaną dostawę betonu!...”

Betonu, betonu, betonu!... Śmigają wartko „gruszki”, przewożące po półtora metra sześć betonowego ciasta po ulicach Warszawy. Warczą betoniarki na budowach Nowej Huty, Częstochowy, Świnoujścia, Gdańska, Lublina. Gdzież się dziś zresztą w Polsce nie buduje? Gdzież nie trzeba betonu?...

Wołają o beton częstochowskie marteny, wołają mola bazy rybackiej. Dziś beton — znaczy jutro traktory, pończochy, kwas siarkowy, skóra.

Beton to szare ciasto. Miękkie i podatne, niemal jak gęsta zupa. W betonowej masie pływają kamyczki, żwir, miliardy ziarn piasku. O to nie trudno. Piasek i żwir łatwo znaleźć blisko każdej budowy. Ale beton — to jeszcze cement.

A cement?..

Chemik powie, że to jest mieszanina kamienia wapiennego z krzemionką i tlenkiem glinu (nie gliny, proszę państwa, lecz glinu. „Po polsku” po prostu aluminium).

Tę mieszaninę, czyli glinę marglową, nagrzewa się do temperatury 1400—1600 stopni. Wszystko topi się, po ostudzeniu zaś powstają bryły klinkieru, które miele się w specjalnych młynach na proszek. Proszek ten, zmieszany z wodą, zastyga póź

niej, twardnieje, „na mur” „na beton”. Właśnie na beton.

Piasku i żwiru wszędzie dość. O cement więc przede wszystkim wołają wielkie, średnie i mniejsze budowy Planu Sześcioletniego. Aby ich było więcej — trzeba więcej cementowni. Właśnie 22 lipca, w ich szeregach stanęła gigantyczna opolska „Odra”. Ale to jeszcze mało. Budowy wołają o beton, o cement.

Magnes wielkiej budowy

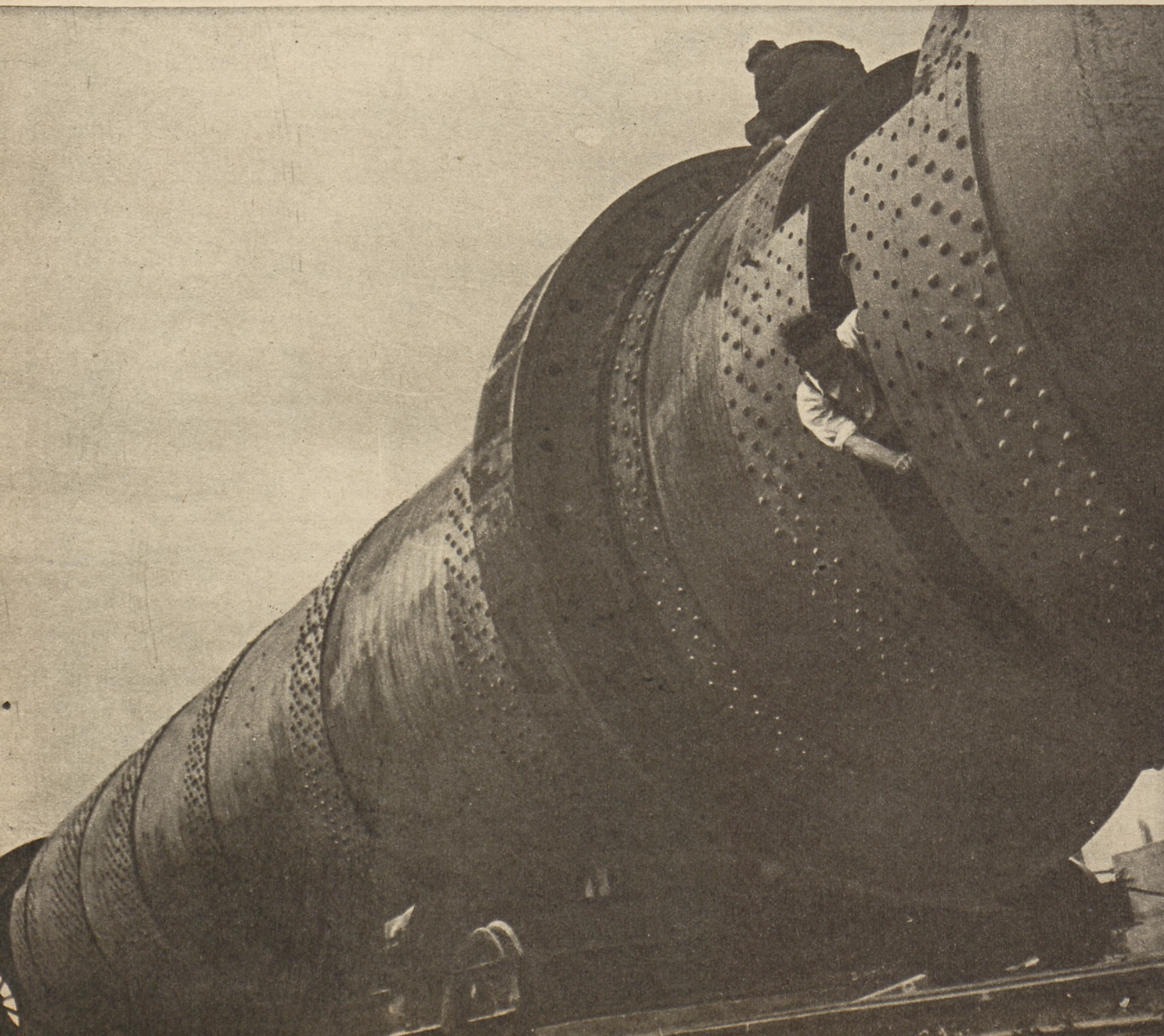
Piaszczysta i mało urodzajna jest ziemia dokoła Wierzbicy. Niewdzięcznością wypłacała się rolnikom. Al. geologowie... o, ci mieli już inne szczęście.

Gdy przyjechali tu po raz pierwszy w towarzystwie mierniczych — wieś pełna nędzy, nie wolna też od kułackiego wyzysku wieś Wierzbica, patrzyła z nieufnością. Dopiero, gdy wyrosły trójnogi świrdrów wiertniczych — uczucia biednych chłopów zmieniły się gruntownie.

Cementowni jeszcze nie ma, a już wciąga w swoją orbitę miejscową biedotę wiejską, co to od wieków szła na bandos, na kolej, na obczyznę — byle na chleb zarobić. Dziś pracę znajduje na miejscu, tu, we wsi, na wierzbickim polu.

Na polu: kiedy bowiem wyjedzie się z opłotków wsi Wierzbica, to ponad jasny aksamit złocistego żyta, jakby wprost z niego wyrastają rozkraczone kratownice dźwigów portallowych. Dopiero później dostrzega się budynki administracyjne, porośnię ru-

MAJSTER MONTAŻOWY, GÓRAL, DOKŁADNIE WYMIERZA OTWORY NITOWE W TRZECIM CZŁONIE PIECA.



WARCZY I DRGA „PNEUMATYK”



sztowaniami hale odlewni, magazynu, oddziału prefabrykatów. Dopiero później widzi się, że serce całej cementowni — dwa wielkie obrotowe piece, w których prażyć się będą owe gliny i krzemiany, owa marglowa glina, bogactwo wydarte radomskiej ziemi, są tuż obok w miejscu. Otoż, że te dwa piece leżą po środku, na ziemi.

Żywe kowadło i „pneumatyk”

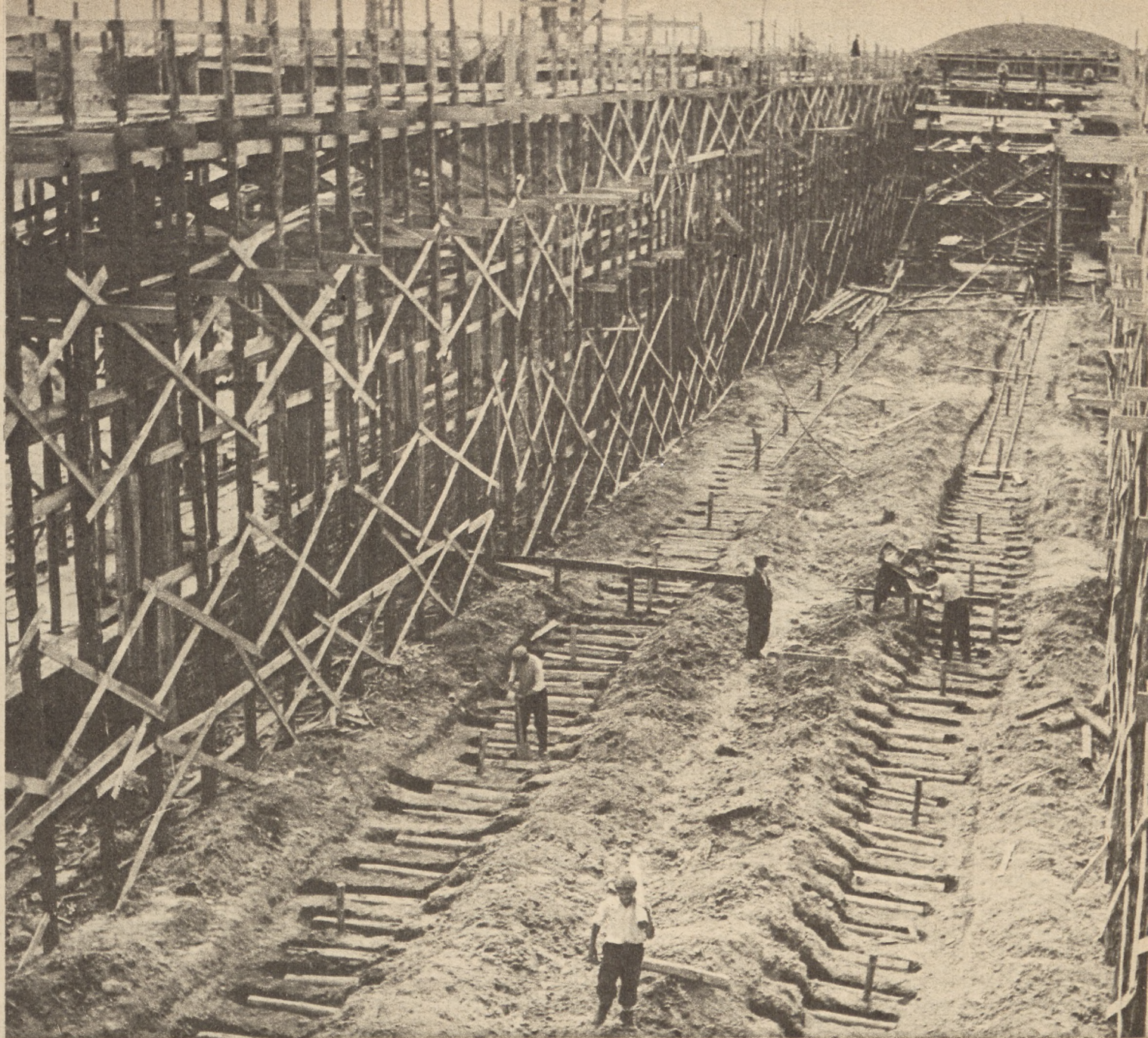
Leżą oczywiście jeszcze nie w całości. Leżą kilkumetrowe rury, których średnica... trzech ludzi, jeden na drugiego postawiony ledwie ją wymierzy. Łączy się je tu w jedną gigantyczną rurę pieca, długości 150 metrów. Nad tym właśnie łączeniem, pracują niciarze z grupy majstra Górala, brygadziści Bielecki i Niklewicz z pomocnikami.

Czytałem w jednej z książek Gorkiego o niciarzach z dawnych rosyjskich fabryk kotłów. Wchodzili do wnętrza kotła, opierali sobie na pierśiach ciężki młot kowalski, przywierali do blachy. A z drugiej strony, nciarz walił młotem w rozpasy nit, walił ile strzymało gorące żelazo i... żywe kowadło. Do mniejszych kotłów posyłano dzieci.

Dzisiaj Niklewicz czy Bielecki (ten Walenty, wiecie, co to już 26 lat nituje i twierdzi z uśmiechem, że teraz robota znacznie jest lżejsza) przyciska wystekający przez dziurę, czerwony z gorąca nit „pneumatykiem”. Zataczy się po nicie piękne miękkie kółko. A „pneumatyk” gra, warczy, wali tysiącem szybciotkich uderzeń i za chwilę na brzuszysku pieca srebrzy się świeży, „na mur” zaklepany nit.

Później, gdy osiemnastometrowe odcinki będą już znitowane, potężny „Staliniec” wciągnie je leciutko linami na wózki montażowe. A z wózków montażowych, podniosą je właśnie owe z daleka widoczne krany portalowe i osadzą na „rolkach” — potężnych, kilkunastonowych łożyskach

(Dokończenie na str. 14)



Obrosłe rusztowaniami ściany budynku odlewni czekają na prefabrykowane stropnice. Na rusztowaniach zwijają się cieśle

z brygad Stanisława Peli i Jana Stapora. Ten ostatni to właśnie dzieci wierzbickich piasków, do niedawna rolnik

BRYGADZISTA NIKLEWICZ WBIJA DZIENNE DWIEŚCIE NITÓW.

26 LAT JUŻ NITUJE WALENTY BIERECKI RÓŻNE KONSTRUKCJE I URZĄDZENIA.





Trzyście tysięcy dwieście kilogramów — tyle waży ta „rolka“, którą dźwig portalowy niezwykle lekko przenosi na fundament pod baczynym okiem brygadzysty Rybki i majstra montażowego Stefanowskiego z „Mostostalu“.

(Dalszy ciąg ze str. 13)

tocznych, osadzą na fundamentach, z których każdy przypomina nieco Łuk Triumfalny w Paryżu.

Krzywe piece

— Ale przecież one są od jednego do drugiego brzegu coraz niższe, piec będzie wyglądał krzywo!...

— Nie krzywo, proszę pana, tylko ukośnie. Przez to właśnie pochylenie, podczas obrotów pieca, coraz niżej opadać będzie glina marglowa, coraz bardziej zbliżać się będzie do płomienia z pyłu węglowego, który stopi ją na cement.

Objaśnia to z uśmiechem wyższości majster montażowy, Stefanowski. Na twarzy jego maluje się pewność siebie. I słusznie. Tyle już przecież zmontowali takich, podobnych i niepodobnych konstrukcji monterzy „Mostostalu“ — gwardia budowniczych fabryk. I piece do kwasu siarkowego w Wizowie i różne tam inne...

— Tegie głowy, złote ręce... — mówi o nich inspektor nadzoru „Mostostalu“, Kurowski.

— Na Pierwszego Maja przyszłego roku, cementownia ruszy na całego, — zapewniają monterzy. — A może i...

— Dzień tylko krótki, — łyska zębami w uśmiechu brygadzysta Maśko.

A jego kolega, brygadzysta Rybka, podnosi rękę i daje znak dźwigowemu. Wielotonowa „rolka“ płynie do góry, przesuwając się nad fundament, mięciutko osiada na swoim miejscu.

Monterzy „Mostostalu“ to ptaki wędrowne. Zmontują co trzeba, zniżą, zespawają, przyklepią i... pójdą na nową budowę, na nową fabrykę. Ale przy robotach ziemnych, przy

budowie hal i domów administracyjnych osiedla robotniczego, coraz więcej takich, którzy w personaliach, jako miejsce zamieszkania podają Wierzbicę, Jastrząb, czy inne rozproszone dookoła wioski. Dawni biedacy wiejscy, bandosi, sezonowi robotnicy, uczą się dziś nowego zawodu. Już dziś, niektórzy poczynają kierować innymi, jak np. brygadzysta Stapor z grupy ciesielskiej, którą zastajemy rozwieszoną jak pajaki na rusztowaniach rosnącej w górę odlewni.

Prawie milion kilogramów

A na stacji, gdzie syczą i sapie manewrowy parowóz, zwijają się brygady Żaka i Kossakowskiego, wyładowując z wagonów i platform coraz to nowe części pieców, maszyn, instalacji. To wcale nie błahe zajęcie, nie krótką, drobną pracę. 9 tysięcy ton, prawie milion kilogramów, przejdzie — oczywiście za pośrednictwem dźwigu — poprzez ręce Żakowych wyładowywaczy.

Faluje dookoła żyto, coraz przejrzyściej robi się na polach. Z niektórych miejsc widzi się już rosnącą cementownię nie przez las żytnich kłosów, lecz pomiędzy kopkami powiązanych snopów. Niedługo ujrzą ją wierzbiczanie poprzez ścierniska, rolę, później poprzez śnieżne pola.

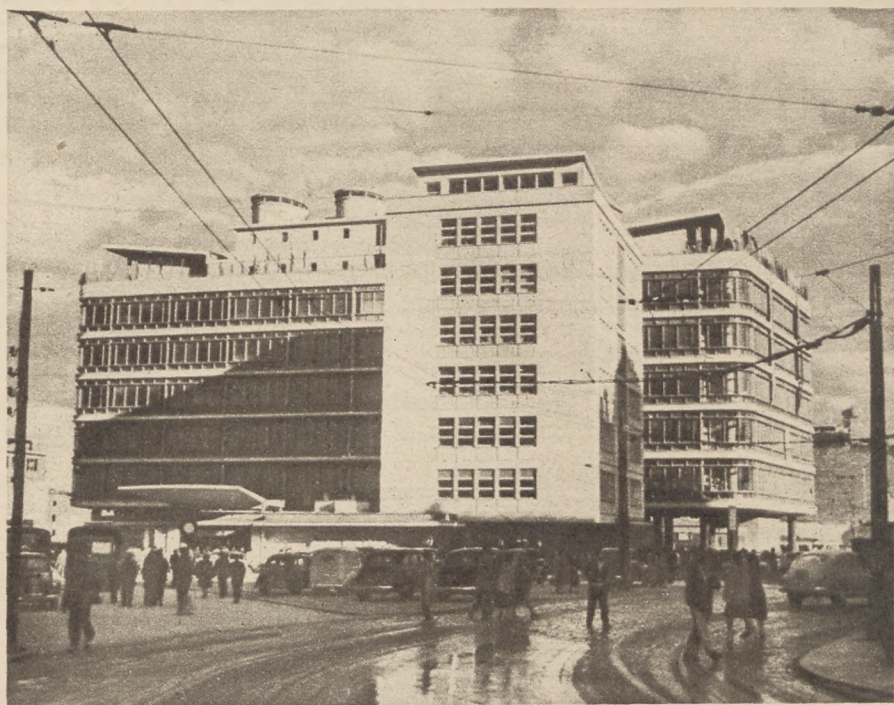
A potem, rozczzerwienią się majowe sztandary i cementownia Wierzbica zamelduje budowom Planu Sześcioletniego, budowom przemysłowej Polski, że jest do ich dyspozycji. Zamelduje niewielkimi, papierowymi workami, w których wędruje w świat szarozielony proszek, co twardnieje na kamień, w powietrzu, i pod wodą, pod ziemią i w ogóle wszędzie. Twardnieje na mur!... Na beton!...

JAN DĄBROWSKI

Narada produkcyjna. Majster ciesielski Pela, grupowi od wykopów Woźniak i Figlarski omawiają bieżące zadania, a także i sprawy bytowe robotników.



Cedet



Nowe domy dwa powstały:
Jeden duży, drugi mały.

Każdy innym celom służy:
Jednym — mały, drugim — duży.

Chór biurokratów:

W małym — strzela nam do głowy —
Będzie nowy sklep państwowy,
A w tym dużym — hurra, hurra! —
Sklep ten będzie miał swe biura.

Chór ekspedientów:

Biurokracja! Wolność Tomku,
Lecz tym razem, w mniejszym domku,
Bo nie w małym my, lecz w dużym
Klientelę w mig obsłużym!

Chór biurokratów:
Zbudowano nam — o rany! —
Mniejszy domek i nie szklany.
Ktoś rzekł o nim nie bez racji,
Ze to pomnik biurokracji...
Lecz to hańba, to policzek
Taki mały mieć pomniczek!

Nadzieja autora:

W przyszłych dniach, w proroczych
snach,

Widzę nowy wielki gmach,
Wielki sklep,
budowlę,

która

Sama będzie stać,

bez biura!

JANUSZ MINKIEWICZ

Biadania Minkiewicza nie są — jak widzimy uzasadnione. Centralny Dom Towarowy służy ludziom pracy i przyciąga tysiące magne-
sem dobrego zaopatrzenia i szybko-
kiej, uprzejmej obsługi. Ponad 80
tysięcy Warszawiaków przewi-
nęło się przez CDT w pierwszych
trzech dniach. Zakupy już poczynione. Uśmiech na twarzach tych oto dwóch obywateli świadczy, że sprawnik był dobry.



A WIECZOREM PRZYGOTOWANIA NA DZIEŃ NASTĘPNY.



(CAF)



Grupa uczonych i mędrców — fragment ołtarza Wita Stwosza. Tak najprawdopodobniej ubierali się profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w średniowieczu.

Kobieta w sukni domowej — typowy obrazek z życia krakowskiej mieszczaństwa w XV stuleciu.



KSIĄŻKA WIT STWO O WIELKIM DZIELE

EDWARD KARŁOWICZ

Miał kamienicę przy ul. Grodzkiej i z dwóch małżeństw dochował się trzynastoletniego dziecka. Do Krakowa przybył z Norimbergi, ale był najprawdopodobniej Ślązakiem. Największe dzieło jego życia — ołtarz w kościele Mariackim w Krakowie — jest równocześnie jednym z największych arcydzieł średniowiecznej sztuki.

Gdy w roku 1946 przybył na Wawel z Niemiec rozebrany ołtarz Wita Stwosza, wywieziony przez hitlerowców w 1939 roku — był w wielu miejscach uszkodzony i nosił ślady niszczycielskiej działalności owadów. Kosztem 12 milionów złotych, przekazanych szczodrze przez Państwo Ludowe, udało się w ciągu 4 lat nie tylko odrestaurować cenne dzieło sztuki, ale także przywrócić ołtarzowi pierwotny wygląd z roku 1488.

I oto leży przed nami niezwykła księga-album. Obszerny wstęp informuje o epoce, w której działał Wit Stwos, o jego życiu i pracy, o wspólnym ołtarzu. Z blisko dwustu jedno i wielobarwnych fotografii dużego formatu patrzą na nas ludzie: święci i prostaczkowie, apostołowie i rzemieślnicy, ludzie jakich widział i z jakimi się stykał Stwos w żywym, ruchliwym i gwałtownym Krakowie. Ołtarz jest dziełem sztuki religijnej, ale postacie, stroje i przedmioty użytku codziennego, stworzone przez Stwosza w drzewie — są realistycznym odzwierciedleniem współczesnego artysty — bytu krakowskich mieszczan, są cennym dokumentem,

przenoszącym w nasze czasy to wszystko, co mógł oglądać Stwos podczas swych niezliczonych wędrówek po stolicy państwa Jagiellonów.

Przerzućmy karty księgi. Oto apostoł Jan o rysach krakowskiego kaponika, w sukiennym kapturze, jaki na pewno można było w czasach Stwosza nabyć u kupca na Floriańskiej. Oto kobieta w domowej sukni, najprawdziwsza krakowska mieszcza. Oto fragment: buty do konnej jazdy — takie, w jakich wyjeżdżali panowie na łowy do puszczy Niepołomickiej. Każda postać, każdy szczegół — jest mocno umiejscowiony w świecie, w którym żył i tworzył artysta.

Księga — album o wielkim dziele Stwosza jest wydawnictwem, którym Państwowy Instytut Wydawniczy rozpoczął publikowanie monografii, poświęconych twórczości naszych najwybitniejszych malarzy — realistów. Znakomity papier, doskonałe reprodukcje, układ graficzny na niezwykle wysokim poziomie artystycznym — wszystko to stawia księgę o ołtarzu Stwosza w rzędzie najlepszych monografii tego typu, jakie kiedykolwiek ukazały się na świecie.

Powodem do słusznej dumy może być fakt, że dzieło to zostało wykonane całkowicie w kraju, z polskiego papieru i w polskiej drukarni.

Księga — album o krakowskim ołtarzu mariackim Wita Stwosza w pełni zasługuje na zajęcie poczesnego miejsca w naszych bibliotekach, domach kultury, świetlicach i szkołach.

ŚRODKOWY FRAGMENT OŁTARZA. POSTACIE MAJĄ RYSY WYRAŹNIE SŁOWIAŃSKIE...



UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Andrzej znowu temu zaprzeczył. Mimo to, Wanda zmusiła go by jeszcze raz wysłuchał jej tłumaczenia, tyle że w nieco innym wariacie.

— Mnie się zdaje, że panu Faniowi nic wartościowego nie pozostało z majątku po ojcu, prócz tej jednej rzeczy.

Tosia ujęła sprawę jeszcze ściślej:

— Nic wartościowego mu nie pozostało prócz tej jednej rzeczy, bo mu w ogóle nic nie pozostało!

Wanda przyznała siostrze słusność:

— Plac mu zabierają pod tę nową trasę.

Andrzej wiedział o tym. Przez środek terenów, na których się rozciągały przed wojną zakłady lewartowskie, miała przejść wielka arteria komunikacyjna. Reszta przewidziana była pod ogrody.

— Zostało mu więc z majątku tylko to, coś mu wtedy замуrował — powiedziała Wanda. — Myślałyśmy z początku same się tym zająć, bośmy się orientowały, że pan Fanio w żadnym wypadku nie zechce wrócić do kraju, ale przelekłyśmy się odpowiedzialności. Co by on sobie o nas pomyślał, gdyby nam się coś nie udało! Co by się z nami stało, gdyby władze przejęły jego wskazówki! A zresztą łatwo to powiedzieć: same! Nie podołałybyśmy fizycznie. A orientujesz się chyba, co to znaczy w dzisiejszych czasach na innych liczyć. Na starszych ludzi niepodobna, bo są tacy sami niedołęzni jak my, a na młodych łatwo się można zawieść. Jak zresztą po każdej wojnie! Wtedy twoja osoba przyszła nam do głowy i od razu w tym samym liście napisałyśmy i o tym nowym nieszczęściu z tą trasą i o tobie, że z pewnością zechcesz mu przyjść z pomocą.

Andrzeja drażniło podobne ujmowanie jego roli. Zgodził się przyjechać do kraju, żeby załatwić dla Lewarta jego ryzykowną sprawę wcale nie przez żadne względy uczuciowe i bynajmniej nie tylko na rachunek Lewarta.

— Zaproponował mi ten interes, — rzekł twardo — podjąłem się go.

Spojrzały na niego obie z pewnym zgorznięciem. Rozumiały jednak, że rzeczą próżną było by go strofować. Wanda powróciła do głównego wątku rozmowy.

— Gdyby się nie był zmienił, tak jak się zmienił, napewno tą sprawą mógłby się zająć stryj Konrad!

Od pierwszych listów z kraju Andrzej wiedział, że stryj odszedł od wszystkich i od wszystkiego, z czym był związany przed wojną. Przez lata całe pracował razem z ojcem Andrzejem u Lewartów na wysokim stanowisku, w pierwszym okresie okupacji robił tylko pieniądze, dla siebie i dla pana Stanisława Lewarta, który przez całe życie lubił wydawać jak najwięcej; w ostatnich dopiero latach stryj Konrad zaczął się zajmować polityką, odgrywał nawet pewną rolę; już w Paryżu Andrzej dowiedział się, że jego stryj miał zostać wiceministrem oświaty na kraj, niestety, podczas pewnej jazdy do Lublina wpadł. W śledztwie utracił oko, potem był na Majdanku, sowiecka ofensywa uratowała mu życie. Ten fakt widocznie wpłynął na niego.

— Wiesz już o tym — zmarszczywszy brwi zapytała Tosia, — że on całkowicie zmienił orientację?

— Nie widzimy go! — powiedziała ze złością Wanda.

— Ani on nas — uzupełniła jej informację Tosia.

— Zaprzedał się nowemu rządowi. Rozbija się autem — mówiła Wanda. — Nie zawahał się nawet zapisać do jakiejś ich partii.

— Ale nie do tej najgorszej — rzekła Tosia. — Do jakiejś podrzędniejszej.

— To bez różnicy. Wszystkie wymyślił jeden diabeł, jak powiada ksiądz Zawczyński! — krzyknęła Wanda.

— Ocalał? — ucieszył się Andrzej.

— Ocalał, ocalał! I nasz kościół ocalał!

Tosia, widząc, że może zakomunikować Andrzejowi taką nowinę, uśmiechnęła się, po raz pierwszy zresztą przy Andrzejem od jego powrotu. Ale, to już nie był jej dawny uśmiech. Tosi brakowało kilku górnych zębów z jednej strony. Powściągnęła uśmiech. Lecz o księdzu i o kościele nie przerwała.

— Pomaga nam jak umie, sam biedak ma niewiele, jego kościół przecież teraz stoi na pustkowiu, ale zwraca uwagę na nasze położenie komu tylko może.

Tosia spytała z namaszczeniem:

— Widziałeś na dole fotografię wuja Krupockiego? Prałat Zawczyński nam ją wypożyczył!

— A cóż ciotkom po takiej fotografii? — skrzywił się Andrzej.

— Mylisz się chłopcze. Wuj Krupocki pozostawił po sobie pamięć. Jest teraz jakgdyby naszym opiekunem, naszym patronem. On już niejednej naszej prośby wysłuchał.

Podejście Wandy do tej sprawy było bardziej ziemskie:

— A przy tym dobrze, że ludzie go u nas widzą.

Żeby skończyć z księdzem Zawczyńskim, Tosia jeszcze Andrzejowi zdradziła:

— List Wandy do pana Lewarta, po którym tyś przyjechał, poszedł też przez księdza Zawczyńskiego. Ksiądz dał go pewnemu ojcu Salezjanowi, jadącemu zagranicę, żeby go przewiózł.

A Wanda, która daleko odbiegła wspomnieniami, rzekła:

— Chrzcił ciebie, przypominasz sobie?

Tego sobie nie przypominał, przypominał sobie jednak starego księdza z wielu okazji. Ksiądz związany był z rodziną Uriaszewiczów tyloma węzłami! Był kolegą seminaryjnym księdza Krupockiego, późniejszego infułata, zmarłego jeszcze przed wojną brata babki Uriaszewiczowej. Dawał ślub rodzicom Andrzeja. Chował matkę, która odumarała Andrzeja, kiedy Andrzej miał dwa lata. Nieustraszony i uparty potrafił wydstać ciało ojca Andrzeja, rozstrzelanego z listy zakładników, żeby je pogrzebać.

— Nikt nam inny z bliskich nie pozostał. Możemy przejść Warszawę z jednego końca na drugi...

Wandą nie mogła dokończyć zdania, ogarnęła ją żalność.

— Ale że stryj Konrad?! — Andrzej, znając go dobrze, nic nie mógł pojąć z tego, co teraz usłyszał.

Domysły Wandy, dotyczące pana Konrada szły w następującym kierunku:

— Napewno wszystko stracił, co sobie zebrał w czasie okupacji, a żyć trzeba! Tosia roześmiała się uszczypliwie:

— Tylko, że ptasim mlekiem oni go nie karmią. Nie bój się! Żyje bardzo skromnie!

— Zresztą stracił czy nie stracił, żyje skromnie czy nie skromnie, w każdym bądź razie gdyby chciał, mógłby nas polecić jakimś instytucjom rządowym, — Wanda skarżyła się — a tego zrobić nie chce.

— Prosiła go ciocia o to?

— Odmówił mi. Powiedział żeby nie liczyć na żadne jego interwencje.

Tosia dodała:

— Powiedział, że uważa swoje dawne stosunki za zerwane. Taki nieużyty.

W Wandzie wszystko aż się gotowało z nienawiści:

— Bo ludzie, którzy dawniej utrzymywali z nim stosunki, zerwali z nim. To człowiek zaprzeczany. Żebyś widział! I z jakimi przemówieniami występuje! Publicznie! Niewiadomo, albo stracił rozum albo go jakiś diabeł opętał!

Z dwojga złego Tosia wybrała to pierwsze.

— Ja uważam, że stracił rozum.

— Wiesz, co o nim powiedziała pani Rokicińska? Że to drugie oko, którego mu nie wybiło Gestapo, powinny mu wybić nasze dzisiejsze władze. Wtedy by dopiero uzyskał bezstronne widzenie!

Tosia Uriaszewiczówna zakryła oczy rękami, przerażona wyskokiem siostry.

— Ależ Wando, nie powinnaś mówić takich rzeczy!

— Ja też nie mówię. Ja tylko powtarzam co kto inny powiedział!

Tosia przeszła na inny temat. Też nie wesoły.

— Mój Boże, wierzyć się nie chce, że kiedyś było inaczej — powiedziała. — I to do tak niedawna. Jak gdyby do przedwczoraj! Jeszcze na rok przed końcem wojny! Kiedy twój ojciec żył, pan Lewart nie umarł, mieszkaliśmy sobie wszyscy w naszym mieszkaniu, a obok dom państwa Lewartów, wspaniały, zawsze gościnny, otwarty!

Wanda zauważyła cierpko:

— Zażadto nawet!

— Ależ nie mów tak!

— Mówię to samo, co ty sama mówiłaś podczas wojny i to samo zresztą mówił ojciec Andrzeja. Pan Stanisław Lewart podczas okupacji bardzo sobie niewiele robił z ludzkiej opinii!

— Już mogłabyś mu dać święty spokój! Umarł. Skończyło się.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie. Wanda siedziała sztywno, odwróciwszy głowę ku oknu. Zła była na siebie, na wszystko. Ręce splekane bolały ją. W „Caritasie“ obiecano jej specyfik na to, ale dzisiaj nie dano. Nie dano jej nawet gliceryny, o którą prosiła. Po paczkę, którą otrzymywała co tydzień, kazano jej się zgłosić jutro. Nie mogła nawet Andrzeja zatrzymać na kolacji. Ani też w ogóle nie mogła go zatrzymać u siebie.

— A pan Fanio, jaki? Zawsze taki subtelny, taki dobrze wychowany — pytała Tosia, żądna nowin o Lewartach w jak największej ilości. — Co robi?



— Nic. Potrzebuje pieniędzy.
 — A pani Róża?
 — Wyszła za męża.
 Tosię aż zatknęło:
 — Pani Róża Lewartowa, matka Fania, wyszła za męża?
 — Wyszła.
 — Wando, słyszysz?
 — Słyszę, co nie mam słyszeć. Owdowiała, więc dlaczego by nie miała wyjść!
 — Taka zawsze wypielegnowana. W takim dobrobycie. — Zamyśliła się na głos Tosia. — A pomyśl, że ona jest w naszym wieku!
 Andrzej Uriaszewicz jeszcze sobie przypomniał:
 — Wyszła za męża za jakiegoś Austrijaka.
 — Pewnie też jakaś znajomość wojenna!

Nagle cała złość w sercu Wandy przemieniła się w smutek. Wspomnienia i dziejszość; te pierwsze niepowrotne, ta druga niezrozumiała, a do tego wszystkie drobne dokuczliwości dnia powszedniego, jasne w swojej wymowie jak słońce, sprawiły, że z oczu Wandy spłynęły dwie łzy.

— Moje dziecko — powiedziała drżącym głosem — moje dziecko, czy tak sobie nas wyobrażałeś. I swój powrót?

Lecz po pewnej chwili zdołała na koniec wyrwać się z nastroju, który zaczynał również ogarniać i męczyć Andrzeja. Pełna ciepła oświadczyła:

— A przecież twój powrót to takie szczęście!
 — Gdyby jeszcze mama mogła cię zobaczyć — westchnęła Tosia.

Lecz już wczoraj wytłumaczyły mu, jakie to byłoby ryzykowne. Po ostatnim przejściu z sercem pani Uriaszewiczowej, najgorszy okres minął, ale na wszelkie mocniejsze wzruszenia czas jeszcze stanowczo nie nadszedł. Myśl o tym, w jaki sposób trzeba matkę przygotować na spotkanie z wnukiem, zaabsorbowała panny Uriaszewiczówny. Spierały się przez moment o taktykę.

— To będzie chwila — zawołała Tosia — na którą mama czeka od tyłu, tyłu miesięcy!

— Od miesięcy? — poprawiła ją Wanda. — Od lat!

I wtenczas nagle wybuchło w niej to, z czym się pasowała od początku rozmowy z Andrzejem. Nie zważając na przerażony wzrok siostry, zapominając o rękach, których starała się nie pokazywać, załamała je i ściskając je kurczowo zawołała:

— Lecz jakieś ty mógł przywozić z sobą do Warszawy Joanne! Na litość boską, Andrzeju!

Andrzej zdumiał się. Wymówka wydała mu się paradoksalna.

— Ależ ciociu, to przecież raczej ona mogła mnie przywieźć, jeżeli już kto kogo, a nie ja ją.

Tosia wzięła siostrę w ramiona. Czuły to samo, tylko, że w tym wypadku Tosia była bardziej opanowana.

— No, dobrze już, dobrze — powiedziała w końcu Wanda oschłym, zmęczonym głosem. — Nic mnie ta kobieta nie obchodzi. Nie chcę w ogóle o niej więcej mówić. Nie chcę w ogóle o niej słyszeć!

Andrzej zastanowił się głośno:

— Ciekawe czy babcia o niej kiedy myśli?

Na to obie siostry jednocześnie uciły krótko nic jego rozważań:

— Proszę cię, zostawmy już ten temat!

ROZDZIAŁ III

Joanna Uriaszewiczówna, najmłodsza z sióstr Uriaszewiczównych, minęła na Marszałkowskiej staruszkę, która sprzedawała fiołki; zawróciła, kupiła bukiet, próbowała przypiąć do klapy szpilką wręczoną jej przez staruszkę, szpilka nie podołała zadaniu:

— Nie macie też innej, babciu?

— Teraz wszystkie takie!

Skoro tak, Joanna w wielkiej, przybocznej torbie wyszukała zwracający uwagę okaz agraftki, różniacej się od zwyczajnych tym, że była kolorowa.

— Zagraniczna? — spytała staruszka.

Joanna odgarnęła włosy, które jej się zsunęły na czoło. Był marzec, nie miała kapelusza. Nie nosiła go przez całą zimę. Odpowiedziała:

— Zagraniczna. Ja też jestem zagraniczna!

Było jej smutno i wesoło. Smutno w tym mieście, które pamiętała mgliście jako małe i brudne, a teraz zobaczyła zniszczone. I wesoło w tym mieście, w którym miała zacząć żyć na nowo, i które przyjęło ją życzliwie. Mocne, duże ręce, jak przeważnie w rodzinie Uriaszewiczów, wsadziła w kieszenie żakietu. Maszerowała pięknym i elastycznym krokiem. Przystawała na każdym rogu, szukała tabliczek z nazwami ulic, zwykle bezowocnie. Tabliczek nie było. Czasami nie było narożników, albo odrazu całych kamienic.

— Pierwsza będzie Żurawia, druga Wspólna... — przechodnie zaczepiani przez Uriaszewiczównę, przeprowadzali kalkulację na głos: — Piąta poprzeczna!

Doszła do piątej poprzecznej, skręciła w prawo. Odnalazła numer, sprawdziła podług karteczki, wszystko się zgadzało. Niestety — ani śladu domu! Ale to był tylko pozór. W drugim podwórzu ocalało kilka mieszkań. Pomagając sobie zapalniczką, Joanna odszukała odpowiedni dzwonek. Przy każdych drzwiach było ich co najmniej z dziesięć. Na klatce schodowej panował mrok, okna były zabite dyktami. Zadzwoniła.

— Czy tu mieszka pan Uriaszewicz?

— Nie!

Przez kilka sekund oczy Joanny zdołały przywyknąć do ciemności: toż przed nią stał stryj Konrad!

— Nie! — powiedział. — Tu mieszka obywatel Uriaszewicz.

— Jestem Joanna. Stryj mnie napewno nie poznaje.

Zadnym słowem jej nie zaprosił. Odsunął się jednak, widocznie żeby ją przepuścić. Jego pokój znajdował się w głębi mieszkania. Duży, wysoki, gęsto zastawiony meblami. Wskazał jej fotel, żeby usiadła. Kiedy częstował ją papierosem, nieprzejmennie uderzyły Uriaszewiczównę jego oczy. Jedno przysłonięte kłapą, drugie zimne, inteligentne, myszujące.

— Czytałem w pismach, że masz zamiar zostać w Polsce na stałe.



— Na pewno. — Powtórzyła mu to, co oświadczyła w wywiadzie. Pragnęła swoim artystycznym doświadczeniem podzielić się z kolegami w kraju.

— Hm! A sama będziesz tańczyła?

Joanna roześmiała się gardłowym, metalicznym głosem.

— Niech stryj sobie obliczy ile ja mam lat!

Młodsza o kilka lat od Wandy, ale też musiała mieć swoich czterdzieści!

— Mogę stryja uspokoić: tancerki schodzą ze sceny wcześniej. Przed wojną już nie tańczyłam...

Zorientowała się po jego minie, że on się jeszcze nad jej latami zastanawia.

Przerwała mu. Jej życzeniem było, żeby sobie zdał sprawę z faktu, ale nie żeby nad nim rozmyślał.

— Będę uczyła, może założę szkołę. W teatrach zajmę się stroną choreograficzną. Będę układać balety.

Wysłuchał wszystkiego. I uwag krytycznych o polskim balecie i analizy przyczyn i oceny indywidualnych talentów, na które zawsze słać nasz balet. Nakoniec oświadczył:

— O ile się orientuję, przyszedł do mnie, żeby mnie uspokoić w przedmiocie twoich występów. Dziękuję ci. Gdybyś jednak w przyszłości postanowiła coś innego, nie krępuj się mną. Możesz tańczyć. I to bez obsłonek, jak tańczyłaś w Paryżu. Nie musisz do mnie także wtedy przychodzić, żeby cofać swoje dzisiejsze słowa. Zwalniam cię od wszelkich wizyt.

Był jeszcze nieprzyjemniejszy niż pamiętała. Nieznośny, wrogi wszystkiemu sposób patrzenia, wyprowadzał ją z równowagi. Opanowała się jednak.

— Nie, stryju! Myli się stryj. Przyszedł do stryja z prośbą!

Chciała mu wytłumaczyć jaką. Przeszkodził jej.

— Mogę dla ciebie zrobić tylko jedno: oszczędzić ci upokorzenia.

— Nie rozumiem stryja!

— Moim zdaniem jest rzeczą upakarzającą narażać się na odmowę. Ja zaś wszystkim odmawiam, wszystkim, którzy proszą mnie o interwencję czy też coś sobie obiecują po moich stosunkach biurowych czy politycznych.

Joanna roześmiała się. Śmiała się zresztą krótko. Uprzytomniła sobie prośbę, z którą przyszła do stryja Uriaszewicza. Prośba ta nie usposobiła do wesółości.

— Ależ nie, — rzekła cicho — to sprawa z innej dziedziny... — Zaczęła wyjaśniać. Z miejsca utraciła kontenans. Jąkając się i zatrzymując co chwila, wypowiedziała ją wreszcie: sądziła, że przyszedł czas, aby jej najbliżsi z nią się pogodzili. Lata upłynęły, mało kto pozostał przy życiu, wszystko się przewaliło. Matka i siostry powinny zapomnieć o jej nierozważnym kroku.

— I myślisz, że mógłbym ci przyjść z pomocą, pośrednicząc.

Tak myślała. Nic nie odrzekł. Spoglądał w jej kierunku. Wzrok jego sprawiał wrażenie, że przechodzi poprzez Joannę na wylot i przypatruje się niewiedomo czemu.

— Ten krok mi szczęścia nie przyniósł, — dorzuciła.

— Słyszałem. Ani ten pierwszy, ani, zdaje się, żaden następny?

Zaczerwieniła się. Łzy jej się zakreśliły w oczach. Sięgnęła po chusteczkę. Uriaszewicz nie dał po sobie poznać czy zauważył wrażenie, jakie jego słowa zrobiły na Joannie. Obojętnym głosem rozwiął złudzenia z jakimi do niego przyszła.

— Moja osoba mogłaby ci tylko w twoich rodzinnych kłopotach zaszkodzić.

Potem wstał. Wyraźnie życzył sobie zakończenia rozmowy. Joanna się pożegnała. Idąc korytarzem do przedpokoju, pan Uriaszewicz zatrzymał ją chwilę. Pokazał jej na drzwiach liczne bilety wizytowe.

— Gnieździ się nas tutaj tylu ludzi, że musieliśmy sobie narzucić pewne rygory, w przeciwnym razie to mieszkanie zamieniłoby się w piekło. Więc na przykład gości u siebie ograniczamy do minimum.

— Żegnam cię...

Kiedy Joanna wyszła na ulicę, nie mogła zrozumieć czym czuje się taka zaskoczona. Dopiero po chwili zorientowała się, że dziwi ją jasność na dworze i słońce o tej godzinie. Było wczesne popołudnie, a ona po tej wizycie u stryja przyjełaby jako naturalne, gdyby na świecie było już ciemno i czarno.

Kazała taksówce zatrzymać się przy placu Bankowym i poszła pieszo w stronę Starówki, gdzie pamiętała kościółek, do którego chodziły z matką. W okolicach dawnego domu orientowała się lepiej. Spieszyła się, pusto było, wszędzie rozciągały się ruiny. Joanna denerwowała się, lustrowała zdala kobiety w jej polu widzenia, niezdolna rozpoznać te, na które nie chciałyby się tu natknąć.

Kościół był zamknięty. Uriaszewiczówna obeszła go: uratował się, ale też wyszedł z wojny poharatany. Postumenty, bryły murów z sąsiednich posesji, żelazowo leżało w otaczającym kościół ogródku, pozbawionym dawnych drzew. Joanna jeszcze raz próbowała klamki.

— Pani kogo uważa?

(ciąg dalszy nastąpi)



SCENA Z WARSZAWSKIEJ PRAPREMIERY W R. 1860



„HRABINA” NA SCENIE WARSZAWSKIEJ W ROKU 1898.

Rozmawiamy o muzyce

„HRABINA” DOPOWIEDZIANA

JERZY WALDORFF

Naszemu pokoleniu, które ma za sobą jako doświadczenie historyczne, najpierw przeszło 100-letnią niewolę rozbiorową, a potem przeszło 5-letnią okupację hitlerowską, trudno wczuć się w położenie naddziadów, żyjących tuż po trzecim rozbiórze Polski. Ci ludzie stanęli wobec faktu bez precedensu! Naród bogaty w wielowiekową kulturę, jeden z liczniejszych w Europie, został raptem skreślony z listy narodów świata, pozbawiony prawa do życia i rozwoju. — Jakże ówczesne społeczeństwo polskie zareagowało na to?

Jedni jeli szukać ucieczki od gorzkich myśli w zabawach. Wśród tych wodził rej późniejszy bohater wojen napoleońskich, ks. Józef Poniatowski. Zdezorientowany politycznie, dzielił czas między francuską kochankę panią de Vauban i grupę hulaszczyców przyjaciół. Inni, ze starszego pokolenia postępców, usiłowali ratować zabytki kultury i języka polskiego. Młodzi wreszcie, zostający od 1798 r. pod wpływem radykalnej i patriotycznej organizacji Republikanów Polskich, jeli masowo uciekać zagranicę, do Legionów Dąbrowskiego.

Tymi niesłuchanie ciekawymi czasami zainteresował się bliżej zdolny poeta — ludowiec Włodzimierz Wolski, wstawiony już librettem do „Hal-ki”, i w 1859 r. napisał na ich tle libretto-satyrę do nowej opery Moniuszki pt. „Hrabina”.

Moniuszko i Wolski dobrze wiedzieli, dlatego chcą mieć takie libretto, a nie inne! Kraj był wtedy w okresie wrzenia rewolucyjnego, którego wynikiem miało się stać Pow-

stanie 1863 roku. Chodziło o to, żeby pokazać społeczeństwu, jakie drogi prowadzą do rozkładu, a jakie do wzmocnienia sił narodowych; które wzory z przeszłości mogą służyć za przykład, a które winny odstraszać.

Niestety! — Wolski, mając do czynienia z surową carską cenzurą, mógł posługiwać się tylko aluzjami, niedopowiedzeniami, symboliką. — Tymczasem minęło bezmała sto lat i dzisiaj możemy sobie pozwolić na całkiem szczere omawianie dziejów naszego kraju. Powodowany tą świadomością znakomity reżyser Leon Schiller postanowił przerobić „Hrabinę”, dopowiadając za Wolskiego jej całą treść polityczno-społeczną, której Wolski w swoim czasie powiedzieć nie mógł. I taka „Hrabina” została wystawiona ostatnio przez dzisiejszą Operę Warszawską.

Wolski — to prawda — miał zakneblowane usta przez cenzurę, ale mógł przemyśleć i z pewnością gruntownie przemyślał wraz z Moniuszką jaki ma być w „Hrabinie” stosunek ilości tekstu mówionego do ilości śpiewu i muzyki. „Hrabina” była przecież od początku pomyślana, jako opera — buffo, to znaczy opera lekka, a w takiej operze rzeczą zupełnie podstawową jest tempo akcji, odpowiadające żywoci i wartości muzyki. Dlatego Schiller mógł przerobić Wolskiego, jak sam chciał, nie zwiększając wszakże ilości tekstu mówionego.

Tymczasem, w schillerowskiej wersji „Hrabiny” znajduje się ponad 500 wierszy prozy — cały dramat! — nie licząc kolosalnego dialogu przed kurtyną między Bogusławskim a Niezna-

jomym, trwającego 7 minut. A 7 minut to teatralna wieczność. — Koniec końców, z lekkiej, porywistej „Hrabiny” zrobiło się misterium dramatyczne ze wstawkami muzycznymi Moniuszki.

Sytuacja mogłaby być do pewnego stopnia uratowana, gdyby Schiller zastanowił się był nad drugą sprawą, tą mianowicie, że jeśli aktora operowego chce się przestawić na dramatycznego, to trzeba przepracować z nim każdy gest i słowo, inaczej — zdany sam na siebie — najzdolniejszy choćby aktor operowy będzie co najwyżej poprawnym aktorem dramatycznym. Niestety w schillerowskiej „Hrabinie” — pomijając sprawę gry — aktorów nie słychać. Tylko znikoma część ogromnych partii mówionych dociera w zrozumiałym brzmieniu do uszów słuchaczy.

Tu by znowu mogło podreperować sprawę tradycyjne, zamieszczane w drukowanych programach, krótkie streszczenie libretta opery. Niestety! W schillerowskim programie znajduje się niezwykle wnikliwa i ciekawa analiza „Hrabiny”, która będzie z pewnością cennym źródłem dla badań muzykologów, ale która liczy ...41 stron druku. Cóż więc musiałby zrobić przeciętny słuchacz, chcąc zaznajomić się przed przedstawieniem z treścią opery? Musiałby kupić program na tydzień naprzód i zorganizować sobie w domu prywatne, parodniowe seminarium hrabinologiczne.

A więc ta „Hrabina” jest zła? — spytaście. Nic podobnego! Jest bardzo pięknym przedstawieniem, ponieważ została w niej jednak cała prześlizczona muzyka Moniuszki, którą opracował Mieczysław Mierzejewski wręcz znakomicie, w czym pomógł mu Stanisław Nawrot b. starannym przygotowaniem chóru. Partię Hrabiny śpiewa Ewa Bandrowska-Turska, najwybitniejsza nasza śpiewaczka — coż dodać?... Dobrą Bronią jest K. Kostal, niemniej dobrym Chorążym K. Poreda. Aktorsko i od strony dykcji najlepsi okazali się J. Granowski (Dzidzi) i R. Młynarski (Podczaszyc). B. dobry głosowo, lecz drewniany aktorsko był L. Finze. Na czele zespołu baletowego zachwyca Barbara Bittnerówna — najwybitniejsza nasza tancerka, której partneruje doskonale Zb. Kiliński. Br. Dardziński (Bogusławski) i J. Śliwiński (Nieznajomy) robią co mogą, aby ożywić swój dialog.

Dużo piękna dodają przedstawieniu bogate dekoracje Ottona Axera. Zeby wszakże nie kończyć na samych pochwałach, bo to nudne, przypomnijmy ostatnią łatkę: jeśli publiczność słyszy parokrotnie ze sceny, że suknia hrabiny jest z tiulu i z gazy, to ta suknia nie może nie mieć ani kawałka tiulu i ani kawałka gazy.

Salomea Kruszelnicka (na lewo), jako Hrabina w roku 1898 i Ewa Bandrowska-Turska (na prawo) w... r. 1951.

Tak wygląda dzisiejsza „Hrabina” w Operze Warszawskiej. Po środku stoją: J. Granowski (Dzidzi) i R. Młynarski (Podczaszyc), na tle chóru.



JAROSŁAW HAŚEK SZWEJK NIEZNANY

łumaczył STEFAN KRYSIAK

ilustrował CHARLIE

Dwa niniejsze opowiadania o dobrym wojaku Szwejk, wyjęte są z małego cyklu opowiadań. Są one jakgdyby zaczątkiem, z którego później Hasek stworzył swe arcydzieło o Szwejku. Niektóre fragmenty tych humoresek zostały przez autora rozwinięte, pogłębione jego własnymi przeżyciami z okresu służby w wojsku austriackim i wzbogacone niezliczonymi krótkimi opowiadkami. Taki był początek wielkiej epopei Szwejka. Autor, przepełniony głęboką nienawiścią do despotycznych i skorumpowanych rządów Habsburgów, których samowładztwo rozciągało się na Czechosłowację i których imperialistyczna polityka mobilizowała mięso armatnie do walki o podtrzymanie rozlatujących się c.k. Austro-Węgier, z całych sił walczył z ciemiejącą swego kraju. A walczył z nim jedną z najpotężniejszych broni — śmiechem.

DOBRY WOJAK SZWEJK I BAWELNA STRZELNICA

I stało się, jak mu rzekł dostojny kurat: — Szwejku, ty durniu, skoro chcesz służyć — będziesz służył przy bawelnie strzelniczej. Tam ci chyba będzie najlepiej. — Tak więc, dobry wojak Szwejk uczył się obchodzenia z bawełną strzelniczą. Nabijał nią torpedy. Służba ta nie jest żartem, ponieważ ciągle jesteście jedną nogą w powietrzu, a drugą w grobie.

Dobry wojak Szwejk nie bał się jednak. Z zadowoleniem żył między dynamitem, ekrazytem i bawełną strzelniczą, jak żyć winien dobry żołnierz. Z baraku, w którym nabijał torpedy tymi strasznymi materiałami wybuchowymi, dochodził jego śpiew:

Piemoncie, Piemoncie, co z ciebie za pan,
że za ciebie padła ta majlandska brama,
hop, hop, hop!
Ta majlandska brama i te cztery mosty,
hej postaw, Piemoncie, mocniejsze forposty,
hop, hop, hop!
Ja wam wystawiłem regiment ułanów,
wyście go zagnali za majlandzką bramę,
hop, hop, hop!

Po tej pieśni, która z dobrego wojaka Szwejka czyniła lwa, następowały inne wzruszające piosenki o knedlach wielkich jak głowa, które dobry wojak Szwejk połykał z nieopisaną rozkoszą.

I tak żył zadowolony między bawełną strzelniczą, sam jeden w jednym z baraków arsenału.

I oto pewnego dnia przyszła inspekcja, która chodziła od baraku do baraku i przeglądała, czy wszystko jest w porządku.

Gdy przyszli do baraku, w którym dobry wojak Szwejk uczył się obchodzenia z bawełną strzelniczą, po obłoku dymu tytoniowego, który walił z



fajki, doszli do wniosku, że dobry wojak Szwejk jest żołnierzem nieustraszoną.

Szwejk, widząc panów wojskowych, wstał i według regulaminu wyjął fajkę z ust, aby zaś mieć ją pod ręką, odłożył ją na najbliższą odległość od siebie, to jest do stalowej beczki z bawełną strzelniczą. Jednocześnie rzekł salutując:

— Melduję posłusznie, że nie zdarzyło się nic nowego i że wszystko jest w porządku.

Są w życiu chwile, w których decyduje przytomność umysłu.

Najprzytomniejszym z całego towarzystwa był pan Oberst. Widząc, że z bawełny strzelniczej wydobywają się kłęby dymu tytoniowego rzekł:

— Szwejku, palcie dalej!

Były to mądre słowa, o wiele lepiej bowiem jest, gdy palą się fajki tkwi w ustach, niż w bawelnie strzelniczej. Szwejk zasalutował i rzekł:

— Melduję posłusznie, że będę palił.

Był bowiem posłusznym żołnierzem.

— A teraz, Szwejku, pójdźcie na wartownię!

— Melduję posłusznie, że nie mogę, ponieważ według regulaminu muszę tu być aż do godziny szóstej, o której przyjdą mnie zmienić. Przy bawelnie strzelniczej ciągle ktoś musi być, aby nie stało się jakieś nieszczęście!

Inspekcja ulotniła się. Pędziła kłusem na wartownię, gdzie rozkazała, aby po Szwejka poszedł patrol.

Patrol niechętnie, ale jednak poszedł.

Gdy przyszli przed barak, w którym wśród bawelny strzelniczej siedział dobry wojak Szwejk z palącą się fajką, kapral krzyknął:

— Łajdaku Szwejku, wyrzuć fajkę przez okno i chodź tu!

— Ani mi to w głowie! Pan oberst rozkazał, abym dalej palił, więc muszę palić, choćbym miał się rozzerwać.

— Wyleż z arsenału, bydłaku!

— Melduję posłusznie, że nie wyjdę! Jest dopiero czwarta, a zmienić możecie mnie o szóstej. Do szóstej muszę być przy bawelnie strzelniczej, aby nie stało się jakieś nieszczęście. Jestem na to zbyt ostrożny...

Tego „y“ już nie dopowiedział. Chyba czytaliście o tym strasznym wypadku w arsenału. Barak po baraku wylatywał w powietrze, a w trzy czwarte sekundy wyleciał cały arsenał.

Zaczął się od baraku, w którym dobry wojak Szwejk uczył się obchodzenia z bawełną strzelniczą i nad miejscem tym jak nad mogiłą spiętrzyły się deski, gruzy i kawałki konstrukcji żelaznych, które tu zlatywały ze wszystkich stron, aby oddać ostatni hołd dzielnemu Szwejkowi, co to nie bał się bawelny strzelniczej.

Trzy dni pracowali saperzy w ruinach, zbierając głowy, tułowia ręce i nogi, aby miły Pan Bóg na sądzie ostatecznym łatwiej rozpoznał różne szarże i według tego je nagrodził.



Byli to prawdziwi siłacze. Trzy dni z mogiły Szwejka odgarniali deski i żelastwo, a trzeciego dnia w nocy, gdy przedzierali się przez gruzy, usłyszeli przyjemny głos:

Ta majlandska brama i te cztery mosty,
hej postaw, Piemoncie, mocniejsze forposty,
hop, hop, hop!

Przy blasku pochodni przekopywali się za głosem:

Ja wam wystawiłem regiment ułanów,
wyście go zagnali za majlandzką bramę,
hop, hop, hop!

I w blasku pochodni ujrzeli jakąś jaskinię wzniesioną z konstrukcji żelaznych i nagromadzonych beczek, a w jej kącie spostrzegli dobrego wojaka Szwejka, który, odkładając fajkę, zasalutował i rzekł:

— Melduję posłusznie, że nie zdarzyło się nic nowego i że wszystko jest w porządku!

Wyprowadzili go z tego zrujnowanego piekła. Dobry wojak Szwejk, stając przed oficerem, rzekł po raz drugi:

— Melduję posłusznie, że wszystko jest w porządku i proszę, żeby mnie złuzowali, ponieważ już dawno minęła godzina szósta. I proszę także o „menażgeld“ za ten czas, kiedy się to przytrafiło.

Dobry wojak Szwejk był jedynym z całego arsenału, który przeżył tę katastrofę.

Na jego cześć, czynniki wojskowe urządziły w kasynie oficerskim małą uroczystość. Otoczony oficerami, dobry wojak Szwejk pił ile wlażyło, a jego dobra, okrągła twarz promieniała z radości.

Na drugi dzień otrzymał „menażgeld“ za trzy dni, jak na wojnie, a po trzech tygodniach mianowany został kapralem i dostał wielki medal wojenny.

Gdy przystrojony nim i gwiazdkami wchodził do koszar w Trydencie, spotkał oficera Knoblocha, który ujrawszy budzącą postrach dobroduszną twarz dobrego wojaka Szwejka, rzekł:

— Ładnie, oberwańcu, narozrabiał!

Na co Szwejk odpowiedział z uśmiechem:

— Melduję posłusznie, że nauczyłem się obchodzić z bawełną strzelniczą.

I ze wzniosłą miną wyszedł szukać swej kompanii.

Tego dnia, oficer służbowy odczytywał żołnierzom komunikat ministerstwa wojny o utworzeniu w armii oddziału aeroplanowego, do którego można zgłaszać się ochotniczo.

Wtedy wystąpił dobry wojak Szwejk i zwracając się do oficera, rzekł:

— Melduję posłusznie, że już byłem w powietrzu i już to znam i że także w powietrzu chcę służyć cesarzowi panu.

I tak, po upływie tygodnia, dobry wojak Szwejk wędrował do oddziału żeglugi powietrznej, gdzie, jak się później przekonacie, postępował nie mniej roztropnie, niż w arsenału.

DOBRY WOJAK SZWEJK PRACUJE PRZY AEROPLANACH

Austria ma trzy sterowce nadające się do użytku, osiemnaście sterowców nie nadających się do użytku i pięć aeroplanów. To stanowi potęgę Austrii w powietrzu. Dobrego wojaka Szwejka przydzielono do oddziału aeroplanów, aby służył ku chwale i ozdobie tego nowego rodzaju broni. Z początku wyciągał samoloty z hangaru na lotnisku wojskowym i ich metalowe części czyścił wiedeńskim proszkiem.

Służbę przy samolotach zaczynał więc od początku. Tak, jak dostojnemu kuratowi w Trydencie czyścił starannie konia, tak i tu z ochotą pracował przy samolotach, szcztokował ich powierzchnię tak, jak gdyby wyczesywał konie. Jako kapral rozprawdzał warty pilnujące hangarów i pouczał je:

— Musi się latać i dlatego zastrzelcie każdego, kto by chciał ukraść aeroplan.

Po jakichś czternastu dniach został pasażerem. Jest to bardzo niebezpieczny awans.

Latał z oficerami jako balast samolotu. Dobry wojak Szwejk nie bał się jednak. Z uśmiechem leciał w powietrzu, pokornie i z szacunkiem spoglądał na oficera prowadzącego samolot, a widząc pod sobą wolno poruszającą się na lotnisku wyższą szarżę, salutował.

A gdy czasem spadali i rozbijali aeroplan, wtedy spod jego szczątków zawsze wylazł pierwszy dobry wojak Szwejk i pomagając oficerowi stanąć na nogach, meldował:

— Melduję posłusznie, że spadliśmy i że jesteśmy żywi i zdrowi.

Był z niego przyjemny towarzysz podróży. Pewnego dnia wyleciał z oficerem Herzigem i kiedy znaleźli się na wysokości 828 metrów, motor przestał działać.

— Melduję posłusznie, że zabrakło nam benzyny — odezwał się z tyłu za oficerem przyjemny głos Szwejka. — Melduję posłusznie, że zapomnieliśmy napełnić bak.

A w chwilę potem:

— Melduję posłusznie, że spadamy do Dunaju.

A kiedy po chwili głowy ich wynurzyły się ze wzburzonych, zielonkawych fal Dunaju, dobry wojak Szwejk, płynąc do brzegu za oficerem, rzekł:

— Melduję posłusznie, że dzisiaj ustanowiliśmy rekord wysokości.

Zbliżała się uroczysta chwila lotów wojskowych na lotnisku pod Wiener Neustadt.

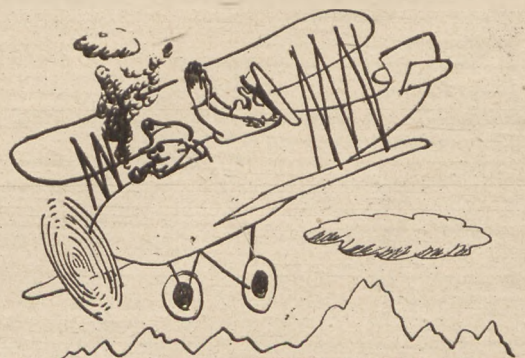
Przeglądano aeroplany, sprawdzano motory i robiono ostatnie przygotowania do startu.

Porucznik Herzig postanowił wystartować ze Szwejkem na dwupłatowcu Wrighta, do którego wmontowano silnik Morrisona, co pozwalało na startowanie bez rozbiegu.

Przybyli przedstawiciele obcych mocarstw.

Samolotem Herziga bardzo zainteresował się major rumuński Gregorescu, który wszedł do środka i oglądał drażki i stery.

Z rozkazu porucznika dobry wojak Szwejk zapuścił motor, śmigło zaczęło się obracać, a Szwejk siedząc obok ciekawego majora rumuńskiego, z



wielkim zainteresowaniem regulował linę łączącą ster poziomy, a robił to z takim zapamiętaniem, że strącił majorowi czapkę z głowy.

Porucznik Herzig rozłożył się.

— Szwejku, ośle jeden, lećcie do wszystkich diabłów!

— Zum Befehl, Herr Leutnant — rzekł Szwejk, chwycił za ster i drażek aparatu Morrisona i aeroplan poderwał się od ziemi z ogłuszającymi, prawdziwymi wybuchami wspaniałego motoru. Dwa dziesięć, potem 100, 300, 450 metrów wysokości w kierunku na południowy-zachód ku Białym Alpom, z szybkością 150 km na godzinę.

Biedny major rumuński oprzytomniał nad jakimś lodowcem, nad którym lecieli na takiej wysokości, że dokładnie mógł rozpoznać pod sobą piękno przy-

(dokończenie na str. 20)

rody, ośnieżone płaszczyzny i strasznie i groźnie spoglądające nań przepaście.

— Co tu się dzieje — mówił, jękając się ze strachu.

— Melduję posłuszenie, że lecimy według rozkazu — z szacunkiem odpowiedział dobry wojak Szwejk — pan porucznik rozkazał: „Lećcie do wszystkich diabłów“, więc, melduję posłuszenie, lecimy.

— A gdzie, gdzie wylądujemy? — pytał dzwoniąc zębami ciekawy major rumuński Gregorescu.

— Melduję posłuszenie, że nie wiem, gdzie spadniemy. Lecę według rozkazu, a umiem tylko w górę, w dół nie umiem, myśmym z panem porucznikiem nigdy tego nie potrzebowali. Gdy byliśmy w górze sami spadaliśmy.

Przyrząd wskazujący wysokość, pokazywał 1860 mtr. Major kurczowo trzymał się drążka i krzyczał po rumuńsku: „Diu, Diu“, „Boże, Boże“, a dobry wojak Szwejk, zreczenie poruszając sterem, śpiewał nad Alpami, nad którymi lecieli:

Ten pierścionek coś mi dała, ja go nosić nie będę

prachsakra, dlaczego nie?

Kiedy będę w moim regimencie, w g'wehr ci ja go nabiję

Major na głos modlił się po rumuńsku i kłął straszliwie, gdy tymczasem w czystym i mroźnym powietrzu dalej rozlegał się spokojny głos dobrego wojaka Szwejka:

Tę chusteczkę, coś mi dała, ja jej nosić nie będę,

prachsakra, dlaczego nie?

Kiedy będę w moim regimencie, g'wehr nią pucować będę

prachsakra, dlaczego nie?

Pod nimi krzyżowały się błyskawice i szalała burza.

Major, z wytrzeszczonymi oczami spoglądał przed siebie i pytał ochrypłym głosem:

— Kiedy to się skończy?

— Jak tylko spadniemy — z uśmiechem odpowiedział dobry wojak Szwejk — przynajmniej my z panem porucznikiem zawsze spadaliśmy.

Byli gdzieś nad Szwajcarią i lecieli na południe.

— Tylko cierpliwości, melduję posłuszenie — ciągnął dobry wojak Szwejk — jak nam wyjdzie benzyna, musimy spaść.

— Gdzie jesteśmy?

— Nad jakąś wodą, melduję posłuszenie, to wielka woda, zdaje się, że spadniemy do morza.

Major Gregorescu zemdlął i przywarł swym tłustym brzuchem do drążka, tak, że pewnie utkwiał w konstrukcji stalowej.



A dobry wojak Szwejk śpiewał sobie nad Morzem Śródziemnym:

Kto chce być wielki
musi jeść knedelki
ajn, cwaj,
na wojnie go nie zabiją,
ponieważ jadł knedelki,
te wojskowe knedelki,
tak jak głowa wielkie,
ajn, cwaj.

I na wysokości tysiąca metrów ponad tymi olbrzymimi przestrzeniami morskimi, dobry wojak Szwejk dalej śpiewał:

Maszeruje Grenewill
Praszną Bramą na szpacir...

Powietrze morskie orzeźwiło majora.

Spojrzał w tę straszną otchłań, a spostrzegłszy morze, wykrzyknął „Diu, Diu“ i znów zemdlął.

Leceli nocą, ciągle lecieli. Naraz dobry wojak Szwejk, potrząsnawszy majorem, rzekł dobrodusznie:

— Melduję posłuszenie, że lecimy na dół, ale jakoś powoli.

Aeroplan, któremu brakło benzyny, lotem ślizgowym doleciał do lasu palmowego pod Trypolisem w Afryce. A dobry wojak Szwejk, pomagając majorowi wyjść z samolotu, zasałutował i rzekł:

— Melduję posłuszenie, że wszystko w porządku.

Był to światowy rekord, który osiągnął dobry wojak Szwejk przelatując Alpy, Południową Europę, Morze Śródziemne i lądując w Afryce.

Major widząc wokół siebie palmy, dał Szwejkowi dwa razy w łeb, co dobry wojak Szwejk przyjął z uśmiechem, gdyż spełniał tylko swój obowiązek, bowiem porucznik Herzig rzekł do niego: „Lećcie do wszystkich diabłów“.

Co dalej nastąpiło, o tym trudno napisać, ponieważ byłoby to bardzo nieprzyjemne dla ministerstwa wojny, które z pewnością zaprzeczy, że pod Trypolisem spadł aeroplan austriacki, gdyż w przeciwnym razie wplątałibyśmy się w wielki konflikt międzynarodowy.

JAROSŁAW HAŚEK

TANIO i ŁADNIE

WIAŻEMY CHUSTKI

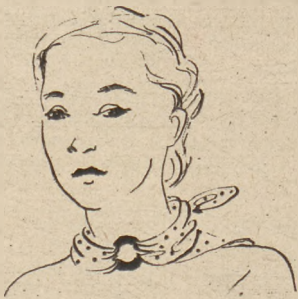
Chustki są niewątpliwą pasją większości kobiet. Każda więc z nas ma ich wiele. Zwykle chustki, chusteczki, duże, małe, jedwabne, wełniane, bawełniane, jedwabne, kolorowe, gładkie, najróżniejsze zresztą... Wydawało by się, że zawią-



rys. 1

zanie chustki to najprostsza rzecz na świecie, a jednak...

Spojrzenie, że obok normalnego wiązania, z każdej chustki można zrobić ładną i ciekawą kompozycję. Dla odświeżenia sukni, która już nam się „opatrzyła“ i znużyła, wystarczy jedna, lub dwie chustki, a suknia zmienia się zadziwiająco. Odpowiednio związana, udrapowana, czy przewinięta chustka, może być wykorzystana nie tylko jako przybra-



nie szyi, ale również jako kamizelka, czy nawet pasek.

Składać można „w trójkąt“, można związać brzegi równolegle, można zrolować dwie różnokolorowe chustki i używać ich jako paska itd. itd...



rys. 3

Spróbujcie kilku sposobów, które tu podamy, a zobaczycie, ile nowych pomysłów przyjdzie wam samym na myśl. A więc,



chustka do ręki, stajemy przed lustrem i zaczynamy!

1 Dwie małe, różnokolorowe chusteczki, przewinięte parę razy i związane na ramieniu podwójnym węzłem. Kombinacja bardzo dobra jako wykończenie swetra pod szyję.

2 Mała chustka, złożona w trójkąt, końce przeciągnięte przez koleczko i związane z tyłu.



rys. 4

3 Duża chustka, złożona w nierówny trójkąt i związana pod brodą. Jeden z dużych, szerokich końców odrzucamy na ramię.

4 Średniej wielkości chustka, najlepiej jedwabna, złożona w trójkąt i związana w formie plastrona. Skrzyżowane z tyłu końce związujemy pod brodą, podciągając do góry środkową część chustki. Daje to znakomity efekt, nawet do sukienek popołudniowych.



rys. 5

6 Dwie duże chustki, zeszyte z przodu i związane na szyi, tworzą pomysłową kamizelkę,



rys. 6

która odświeży starą, płócienną sukienkę. Wzór ten można również stosować jako opalacz.



ORBIS

ORGANIZUJE: Tanie pobyty wypoczynkowe na wsi, przewóz dzieci na kolonie letnie.
OBŚŁUGUJE: Turystykę masową, kongresy, zjazdy, wystawy, wycieczki zagraniczne.
POSIADA: Własne hotele, restauracje i pensjonaty. Wagony sypialne i restauracyjne.
SPRZEDAJE: Bilety kolejowe i lotnicze, losy loterii pieniężnej i fantowej.



TURYSTYKA



WAGONY RESTAURACYJNE



WAGONY SYPIALNE



PENSJONATY



PRZEDSPRZEDAŻ BILETÓW

SPORT

Skok do klasy międzynarodowej

Rekord świata w skoku o tyczce wynosi 4 metry 77 cm, ale dobry skok na międzynarodowym poziomie zaczyna się już od wysokości 4 metrów.

Tę właśnie wysokość postanowili zaatakować nasi tyczkarze, na ostatnich kontrolnych zawodach tuż przed Igrzyskami w Berlinie.

Na obozie kadry reprezentacyjnej, który odbywał się w Warszawie, w Akademii Wychowania Fizycznego, przez kilka dni na stojakach leżała poprzeczka. Poprzeczka znajdowała się na wysokości 4 metrów.

Tyczkarze przez kilka dni nieufnie chodzili naokoło stojaków, zezowali na poprzeczkę i „oswajali” się z wysokością. Było ich czterech: Adamczyk, Ważny, Krzeński i Janiszewski. Był też i piąty, znany przed wojną tyczkarz Morończyk, obecnie trener, który udzielał im rad, wskazówek, odmierał rozbieg i poprawiał ułożenie rąk na tyczce.

Lekkoatleci nasi powrócili przed kilku dniami z Moskwy, dokąd zaproszeni byli przez sportowców radzieckich. Tam tyczkarze polscy wiele się nauczyli od słynnego Ozolina i jego wychowanków. Teraz mieli z tego zdać rachunek.

Zawody się rozpoczęły. Niższe wysokości wszyscy zawodnicy przechodzą lekko. Wreszcie poprzeczka podnosi się do czterech metrów. Cztery metry, to skok do klasy międzynarodowej.

Pierwszy skacze Adamczyk, najlepszy nasz dziesięcioboista i skoczek w dal, który w tym roku postanowił spróbować szczęścia w tyczce.

Rozbieg, odbicie, przerzut ciała nad poprzeczką i... strącona poprzeczka spada. Skok nie wyszedł.

Drugi skok. Znowu rozbieg, potężne odbicie, i ciało Adamczyka wahadłowym ruchem pewnie przerzuca się przez wysokość czterech metrów. Skok do klasy międzynarodowej się udał.

Jego kolega, Ważny, przechodzi dopiero przy czwartej próbie, ale Janiszewski i Krzeński strącają.

Trudno, nie wszystkim się udało, ale to przecież pełnia sezonu. Dwóch „czterometrowców” już mamy, a ci, którym się teraz nie udało, nie spoczną przecież. Jeszcze jest czas na poprawienie wyniku.

Trener Morończyk jest zadowolony. — Dobrze jest — mówi. Postępy są ogromne i przypuszczam, że w tym roku powinien paść stary rekord Polski który liczy już 16 lat, a wynosi 4.14 m.

Popisali się nasi tyczkarze, ale drugą rewelacją był wynik młodego oszczepnika, Sidły. Ten osiemnastoletni junior rzucił oszczepem 65.45 m, co jest wynikiem znakomitym i to nawet — jak na juniora — na miarę światową.

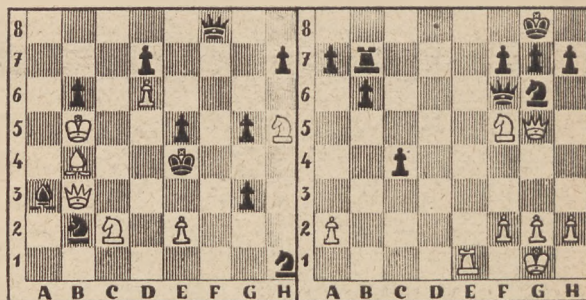
Ostatnia kontrola przed Igrzyskami w Berlinie wykazała, że nasi młodzi lekkoatleci mogą jechać do Berlina bez obawy. Wstydu nam nie przyniosą i oczekujemy od nich w silnej międzynarodowej konkurencji wyników jeszcze lepszych.

Oczekujemy nowych rekordów Polski.

Młody, osiemnastoletni oszczepnik Sidło, jest naszą wielką nadzieją sportową. Oprócz znakomitych wyników w oszczepie, Sidło ma również wspaniałe warunki na rekordzistę Polski w dziesięcioboju.

SZACHY

(Konkurs „A” — zadanie 1 Konkurs „B” — zadanie 1)



Rozpoczynamy dziś dwa konkursy rozwiązań: „A” i „B”. W konkursie „A” będzie zamieszczonych pięć zadań, zaś w konkursie „B” pięć ciekawych pozycji. Rozwiązania poszczególnych zadań należy wysyłać pod adresem tygodnika „Świat”, Warszawa, Nowy Świat 58 w ciągu 10 dni od ukazania się numeru. Zwycięzcom konkursu zostaną rozesłane nagrody.

Konkurs „A” — zadanie 1.
(autor M. Wróbel)

Białe: Kb5, Hb3, Gb4, Sc2, h5, pd6, e2. Czarne: Ke4, Hf8, Ga3, Sb1, h1, pb6, d7, e5, g3, g5, h7. Mat w trzech posunięciach.

Konkurs „B” — zadanie 1.

Białe: Kg1, Hg5, We1, Si5, pa2, f2, g2, h2. Czarne: Kg8, Hf6, Wb7, Sg6, pa7, b6, c4, f7, g7, h7. Jest to pozycja z partii Alechina z Freemanem, rozegranej na nowojorskim turnieju w 1924 r. Białe wygrały piękną kilkuposunięciową kombinacją. Jaka to była kombinacja?

FILATELISTYKA



Z okazji Święta Odrodzenia, ukazała się w obiegu nowa, okolicznościowa seria znaczków polskich. Nowe znaczki przedstawiają portret Prezydenta Bieruta, w owalu ozdobionym sztandarami i gałązką lauru. Tło stanowi, z lewej strony, krajobraz przemysłowy, z prawej — rolniczy. Pod portretem widnieje napis: „7 lat Polski Ludowej”, zaś w lewym dolnym rogu: „22 Lipiec 1944—1951”.

Nowa seria składa się z trzech znaczków o wymiarach 31,25 x 51 mm. Wartości znaczków są następujące: 45 gr — czerwony, 60 gr — zielony, oraz 90 gr — niebieski.

Znaczki zostały wykonane techniką stalorytniczą i drukowane metodą wkłesłodrukową, w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Równocześnie, zostały wydane kartki pocztowe ze znaczkiem tej samej serii, wartości 30 gr w kolorze czerwonym.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 4-01-80. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wkłesłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 2-B-38805

Rewia **SWIAT**a

pod dyrekcją
JERZEGO ZARUBY I JERZEGO JURANDOTA

1 — To będzie, owszem, bardzo ciekawe
obejrzeć sobie tę ich Warszawę...
„Miasto pokoju...” Jestem spokojny,
że całe miasto pod znakiem wojny!



2 — No, to już dowód całkiem jaskrawy,
czym się zajmuje ludność Warszawy:
taki na pozór solidny człowiek,
a co ma w rękach? Bombę, panowie!



3 — Patrzcie... Na oko wieszcz lub profesor,
a jak się lepiej przyjrzeć — agresor!
Wyraźnie sięga po broń w kieszeni...
Jasne, że przeciw nam, dżentelmeni.



4 — A ten?... Zadziorny i w szablę zbrojny,
prze najwyraźniej do nowej wojny!
Znak, dżentelmeni, że bez wątpienia
trzeba przyspieszyć nasze zbrojenia.



5 — Straszysz i straszysz, straszysz bez przerwy,
my mamy mocne, ty słabe nerwy...
Więc daj już spokój i nie strasz, brachu,
bo skutek jeden — że ty sam w strachu!



SWIAT



ZNIWA